

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY:
w Wilnie

Rocznie	6.—
Półrocznie	3.—
Kwartalnie	1 50
Miesięcznie	50
Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu	
Rocznie	7.—
Półrocznie	3.50
Kwartalnie	1.75
Miesięcznie	60

REDAKCJA i ADMINISTRACJA

Ś. Jerska 15 m. 26

Otwarte codziennie prócz świąt od
godziny 11 do 3 i od 5 do 7.

Skrzynka pocztowa № 52

CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem za wiersz petitu	50 k.
W tekście (nadesłane)	1 rb.
Po tekście	20 k.

Numer pojedynczy 15 kop.

Redakcja i administracja naszego pisma zostały przeniesione na Prospekt Św. Jerski d. № 15 m. 26.

Nacjonalizm i kresy.

Z polityką rusyfikacyjną byliśmy obeznani od dawna. Przez lat przeszło 40, od r. 1863 do r. 1905, kraj nasz był pod tym względem klasycznym terenem doświadczeń. Czy mamy tu przypominać wszystkie poszczególne etapy tego eksperymentu dziejowego, który dużo wprawdzie krajowi zaszkodził, ale mało dał państwu pożytku? Byłoby to zbyt ciężkie, bo są to dzieje tak świeże i tak jaskrawie w pamięci społecznych wryte, że te lat kilka, które nas od okresu owego rysu, żadnego szczegółu ciosów doznanych. Był to system jednolity i ciągły, stosowany z uporem i ścisłością nielada. Ogarniał on całe życie społeczne i kulturalne nieszczęsnego naszego kraju. Wszystkie stany, wszystkie klasy społeczne, wszystkie grupy narodowe były z tą samą automatyczną bezwzględnością ujarzmione, prawnie unicestwione.

W wielkiej klatce ograniczeń i zakazów, w której zamknięta była cała ludność państwa, kresy miały jeszcze osobną klatkę ściślejszą. Dla nich zakazy były wyspecjalizowane, bo nie tylko ograniczały prawa ludności w dziedzinie inicjatywy społecznej, ale również ogólne prawa cywilne i niwelowały całkowicie indywidualność kulturalną i narodową. Ograniczenia powszechne dla państwa całego, komplikowały się tu przez ucisk narodowościowy, który w całej pełni rozwinięty został właśnie w kraju naszym, o wiele potężniej, niż naprz. w sąsiednich Polsce lub Łotwie. Ucisk ten, który się stosował powszechnie do całej „obcoplemiennej“ ludności kresowej, był w stosunku do ludności chrześcijańskiej zaprawiony tendencją specjalną—rusyfikacyjną.

Ograniczenie praw ludności żydowskiej było nie

mniej ciężkie—w wielu szczegółach boleśniejsze jeszcze, niż chrześcijańskiej—ale tej specyficznej tendencji rusyfikacyjnej nie miało. Żydów pozbawiono wielu elementarnych praw cywilnych, uciskano, uznawano za szkodliwych, ale uważano za element zasadniczo obcy, odrębny w państwowym organizmie społecznym. O zasymilowaniu organicznym całej masy żydowskiej, o narodowym zlaniu jej z Rosją nie myślano.

Chrześcijańska natomiast „obcoplemienna“ ludność Litwy i Rusi uznana była za dziedzictwo narodowe Rosji. Przeznaczeniem jej było zlanie się z narodowością państwową, roztopienie się w morzu cywilizacji wschodniej. Pierwszym zaś zasadniczym etapem na tej drodze rozwoju było całkowite zatamowanie wszelkich przejawów odrębnego życia narodowego. Że zaś w długim ciągu dziejów Litwa i Ruś były jabłkiem niezgody między Polską i Rosją i że głównym przewodnikiem kultury zachodniej były w krajach tych wpływy polskie i katolickie, przeto z założeń rusyfikacyjnych wychodząc, należało uderzyć przedewszystkim na to, co w sobie wpływy te streszczało. Wychodząc wszakże z walki z polskością polityka rusyfikacyjna dotknęła niemniej bezwzględnie wszystkich innych sfer życia narodowego „obcoplemieńców“ w kraju. Nie mówiąc już o takich ograniczeniach, jak zakaz nabywania nieruchomości dla osób „pochodzenia polskiego“, zakazano też takich przejawów kultury narodowej, jak teatr, wydawnictwa, napisy polskie, nauczanie, używanie języka w instytucjach publicznych. To samo stosowano do litwinów (zakaz druku, nauczania, przedstawień amatorskich i t. p.) i do białorusinów.

I jeżeli jednak wbrew tym zakazom, wbrew uciskowi polityki rusyfikacyjnej, niwelacja narodowa się nie dokonała, a nawet poszczególne narodowości, jak litwini, zdołały w tym okresie spotęgować swą energię twórczą i pchnąć swój rozwój naprzód, to niewątpliwie dużo się tu zawdzięcza nietylko warunkom społeczno-ekonomicznym, których działanie musiało u nas skierować rozwój na te właśnie tory, ale też tej kulturze zachodniej, której pierwiastki zaszczerpione już były poprzednio do umysłowości ludu naszego. Wybitną bowiem cechą kultury zachodniej jest uzdol-

nienie człowieka do inicjatywy czynnej, do samodzielności i swobody indywidualnej, która się nie daje pogodzić z bierną automatycznością niewoli. Bądź co bądź posiadamy w kraju pierwiastki kultury zachodniej, i te w walce z mechaniczną rusyfikacją zewnętrzną były i będą zawsze skutecznym narzędziem pomocniczym.

Znamy więc starą metodą rusyfikacyjną polityki biurokratycznej i doświadczeni jesteśmy na ciosach, zakazach i gwałtach, które do nas stosowano.

Dziś atoli jesteśmy świadkami innej odmiany (eksperymentu). Zamiast starej metody rusyfikacyjnej mamy postać ucisku pod firmą nacjonalizmu rosyjskiego. Tendencja nacjonalizmu tego polega już nie na zasymilowaniu, nie na przerobieniu „obcoplemieńców“ na rosjan, czego dokonać pragnęła stara polityka rusyfikacyjna, ale na ustaleniu podziału ludności na ludność państwową, obywatelską, rządzącą i ludność „obcoplemienną“, niewolną, rządzoną. Między starą polityką rusyfikacyjną a społecznym prądem nacjonalistycznym, pomimo pokrewnych nieraz poszczególnych środków działania, zachodzi różnica znaczna w samym założeniu, metodzie i zakresie, pojmowaniu i stosowaniu zadań państwa.

Objektem polityki nacjonalistycznej są nie poszczególne kresy, ale całe państwo, cała budowa jego. Państwo ma być wyrazem nie całego zespołu ludów i ziem, ale li tylko jednej narodowości, której, jako uprzywilejowanej, winno służyć. Stosunek nacjonalizmu do „obcoplemieńców“ jest mniej więcej taki sam, jakim był stosunek starej Rosji biurokratycznej do żydów.

„Obcoplemieńcy“ mogą pozostać tem, czem są; są oni elementem, który się w państwie toleruje z konieczności poniekąd, jako fakt istniejący, nie dający się wykreślić z życia; ponieważ wszakże element ten jest w państwie obcy, jest ujemny, przeto się go ogranicza w prawach. Zresztą nie chodzi nawet koniecznie o to, aby ten element obcy był sam w sobie uznany za ujemny. Owszem — panowie nacjonalisci gotowi są nawet uznać wartość kulturalną jakiejś narodowości, jak się naprz. nieraz wyrażają o polakach, gotowi są ofiarować im swój szacunek, — platoniczny zresztą. Ponad wszystkie wszakże wartości,

ponad wszelkie tezy stawiają zasadę zmonopolizowania państwa na rzecz wyłącznie narodowości dominującej. Państwo należeć winno do rosjan, ich apetytom służyć.

Rozdział ludności na dwie kategorie zasadnicze, na obywateli I-go rzędu, rosjan, i obywateli tolerowanych II-go rzędu, jest najcharakterystyczniejszym wyznaniem wiary społecznego nacjonalizmu rosyjskiego. Z założeń tych ciągnie on konsekwencje logiczne w całej pełni, roztaczając je na cały teren państwa i na wszystkie dziedziny życia politycznego i społecznego oraz praw obywatelskich. Stąd więc płynie sprawa finlandzka, sprawa chełmska, kurje narodowościowe w wyborach do Dumy, ziemstwa zachodnie, kolonizacja Banku Włociańskiego, polityka żydowska, pomysły o nacjonalizacji handlu i przemysłu i t. p. Jak daleko iść może ta tendencja, gdzie kres polityki nacjonalistycznej, — któż przewidzieć zdoła?

Finlandja, jako leżąca w sferze faktycznej władzy Rosji, musi też ulec tej samej tendencji zasadniczej i być podporządkowana interesom prawowitych obywateli państwa. Ktoż zważać będzie na kwestje czystej teorii, na bagatelne względy prawno-państwowe, na jakieś rostrząsania o tem, czy stosunek Finlandji do Rosji jest oparty na prawnych zasadach unji, czy też autonomji? Wobec kapitalnej zasady nacjonalizmu wszystko ustąpić musi. Względy na kulturę, na dobrobyt, na warunki Finlandji muszą być podporządkowane zasadzie przywileju rosjan w państwie. W tym kierunku zmierzają „reformy“ finlandzkie.

Sprawa chełmska? Toć to czysta i prosta konsekwencja tejże zasady.

W oczach nacjonalizmu rosyjskiego białorusini i ukraińcy są szczytami zaliczeniem ich do państwów rdzennych. To nie są „obcoplemieńcy“ tolerowani, jako fakt istniejący, w postaci obywateli niższego rzędu. Stanowią oni niewątpliwe dziedzictwo Rosji i, jako tacy, winni dostąpić łaski praw obywatelskich. Ale że są nieraz krnąbrni i ulegają intrydze polskiej lub żydowskiej, słowem — „obcoplemienną“, przeto powinni być starannie z takowej oczyszczeni. Niewolno im wybierać między zachowaniem odrębności własnej, a dostąpieniem szczytu wcielenia się

GUSTAW DANIŁOWSKI.

4

ZELMA.

— Przecież ja i tak wiem — zauważył — czy nie mogłabyś stąd wyjść?

— Wyjść — stąd tylko wynoszą! wymówiła dziko i zastygłe jej rysy ściągnęły się w uśmiech gorczy.

Strzegąc pilnie tajemnic swych tragicznych kolei, z niezmiernem zajęciem słuchała, gdy Mirski opowiadał jej o sobie; szczególnie zwłaszcza zaciękały ją sekrety twórczości, o której poeta, nie mając przed kim się zwierzać, rozwodził się czasem, nie wiele się troszcząc o to, czy go rozumie.

— Dziwisz się, że mało piszę, — istotnie, wyrzucam z siebie znacznie mniej, niż mam — całe tematy przeżywam w myśli, przetrawiam od początku do końca i jako rzecz dokładnie już poznaną — wprost lenię się napisać. Zresztą, widzisz, wiem, że w technice pisarskiej to marzone musi stracić wiele subtelności czarnej, który stanowi najwyższą wartość, a na który niema słów w języku ludzkim. Czasem

myślę, że wolałbym być muzykiem, który może nie tylko tony, ale ich ćwierci wyznaczać i zamiast słowem, który ma ściśle określone znaczenie, posługiwać się bezimienną nutą nastroju.

Muzyk śpiewa, jak ptak, poeta musi nazywać, jak uczony.

— Ty — mój ptak! Jak ty mądrze mówisz — ja nie wszystko rozumiem — ale ja wiem, o wiem — potrząsała głową — to znaczy — wskazała na serce: tu co innego, a tu — dotknęło ust — nie to samo!

— Co znaczy — marzyć? spytała.

— Réver!

— Réver — powtórzyła, a siedziała właśnie u jego nóg — *ne bouge un moment!* — oparła głowę o jego kolana, zamknęła oczy i twarz jej stała się jakby martwa, głęboko uspiąca, a potem rozchyliły się lekko usta, zataił się jakby półuśmiech, po rysach przebiegły wzruszenia cienie.

Trwało to z minutę, poczem uniosła powoli rzęsiste powieki i wymówiła sennie:

— Ja marzyłam — tak mi było dobrze i smutno, i cicho, jakbym już umarła — ty siedziałeś przy *mon tombeau* i myślałeś: — Tam Zelma leży — a po tem odeszłeś, a ja słyszałam każdy twój krok i zbu.

do szeregów obywateli prawowitych. Zaszczyc ten jest nie tylko ich prawem, ale też obowiązkiem, musem. Ciężenie ich do kultury zachodniej, do katolicyzmu zwłaszcza, musi być arbitralnie przez państwo wstrzymane. Wszelkie też ich dążenia do pozostania sobą, do utwierdzenia własnej narodowości, są tamowane; niewolno im bowiem spadać do poziomu „obcoplemieńców“, którzy, acz zepchnęci do kategorii parjasów w państwie, mogą wszakże pozostać sobą. Oto więc w Chelmszczyźnie państwo, na założeniach nacjonalistycznych oparte, roztoczyć musi opiekę nad mniejszością ukraińską, uznaną za rosyjską, i stworzyć dla niej warunki monopolu i przewagi; czy to odpowiada istotnym potrzebom i pragnieniom tejże mniejszości ukraińskiej, — to rzecz podrzędna. Tak być powinno, bo to wypływa logicznie z zasady monopolu, a skoro zasada ta jest uznana za sprawiedliwą i słuszną, to sprawiedliwymi i słusznymi muszą być z niej wnioski.

Niezmiernie też charakterystyczny jest stosunek nacjonalizmu rosyjskiego do Polski. Polska oczywiście, jako prowincja państwa, ulegać winna tejże kapitalnej zasadzie: „Rosja dla rosjan“. Stał osobne przedstawicielstwo rosyjskie w Warszawie w Dumie, osobne kurje rosyjskie w samorządzie miejskim Królestwa. Po zadośćuczynieniu wszakże zasadzie przywileju rosyjskiego, nacjonaści gotowi są chętnie dać w Polsce także przywilej w jej sprawach wewnętrznych polakom w stosunku do innych zaludniających ją „obcoplemieńców“. Stwarzają więc już w łonie obywateli niższego rzędu nowy podział na kategorie wyższą i niższą, dając polakom w samorządzie miejskim przewagę prawną nad żydami oraz pewien większy zakres praw w porównaniu do litwinów. Stwarzają więc w Królestwie dziwne stopniowanie przywileju nacjonalistycznego: na czele i przedewszystkiem zasada „Rosja dla rosjan“, ponieważ Królestwo jest jeno częścią Rosji, niżej zaś, jako podtytuł, „Polska dla polaków“. I w tym są znakomicie solidarni z nacjonalistami polskimi, którzy z niesłychaną lekkomyślnością biorą dar taki z rąk nacjonalistów rosyjskich i uzasadniają go nawet względami rzekomo narodowymi, sankcjonując argumentacją swoją całą metodę ucisku i bezprawia, której „obcoplemieńcy“, a więc i polacy w Rosji ulegają.

Nacjonalizm rosyjski, uznając „obcoplemieńców“ za element niepaństwowy, żąda wszakże od nich lojalnego stania na gruncie państwowości rosyjskiej. Popełnia się tu oczywiście niekonsekwencja, która się utrzymać w życiu nie da. Albo cofnięta być musi zasada nacjonalistyczna, albo „obcoplemieńcy“ i kresy zejść ze stanowiska państwowości rosyjskiej.

Cóż bowiem dać może „obcoplemieńcom“ i kresom państwo, rządzone na powyższych zasadach nacjonalizmu? Prócz zapewnienia im, jako ludziom, pewnego minimum praw osobistych i cywilnych, jak prawo do życia biologicznego, prawo do posiadania majątku, z zastosowaniem zresztą i w tej dziedzinie ograniczeń poważnych, państwo im nic więcej nie daje. Cały szereg kulturalnych i społecznych funkcji życia, dla których wypełnienia niezbędną jest zorganizowana pomoc państwa, jest całkowicie poza nawias państwowości wyrzucony. Takie dziedziny, jak szkolnictwo narodowe, jak najrozmaitsze formy rozwoju i twórczości kulturalnych, są dla „obcoplemieńców“ bądź zakazane, bądź ich własnym siłom i środkom zostawione, bez względu na to, czy środki te są wystarczające i czy bez organizacji państwowej funkcjonować zdołają. Państwu nic do tego. Ono wyrazem zbiorowych potrzeb „obcoplemieńców“ być nie chce. Wolno „obcoplemieńcom“ mieć swoją prasę, swoje teatry, swoje muzea prywatne, zakładać stowarzyszenia naukowe i literackie, niektórym, jak polakom w Królestwie, wolno organizować prywatnie szkolnictwo narodowe. Zakres tych wolności jest wprawdzie szczupły, a wysiłki wciąż pętane, ale bądź co bądź w pewnych ramach wolność taka istnieje. Państwo jednak nie bierze udziału w organizowaniu i zaspakajaniu tych potrzeb. „Obcoplemieńcy“ są więc świadomie w swym życiu zbiorowym z gruntu państwowości wytrąceni.

W zaspakajaniu potrzeb ekonomicznych i społecznych kresów stosowana jest ta sama metoda podporządkowania interesów ogólnych interesom państwoców prawowitych. Wprowadza się samorząd ziemski, ale z zapewnieniem przewagi rosjanom; samorząd więc ziemski jest traktowany nie jako instytucja użyteczności publicznej, organizująca pewne funkcje gospodarcze i kulturalno-społeczne ludności miejscowej, ale jako wyraz tej samej zasady służenia

dziłam się w grobie. Chciałam się zerwać, by cię dogonić, ale wieko było mocno zabite, och mocno! — żalność zadrgały jej usta, uniosły się piersi głośnie westchnieniem.

Czasem gdy było duszno, wychodzili na balkon.

— Tu cię dotknęłam — stawała w miejscu pierwszego spotkania i wsparta o jego ramię, wodziła jakby zdziwionem spojrzeniem po pustych przestrzeniach, sadach, wzgórzach i niebie, tak innym i uroczym przy jego boku wydawał jej się tylekroć oglądany pejzaż.

Kiedyś, błędząc długo wzrokiem po gwiazdach, spytała go raptem:

— Czy jest Bóg.

— Nie wiem, odparł.

— Musi być — wyrzekła z mocą.

— Dlaczego?

— Bo musi być ktoś taki, co by mógł wszystkich przygarnąć i wszystko wszystkim przebaczyć!

— Tak! — dodała i popadła w zadumę.

A Mirskiemu przyszedł na myśl ustęp z Beniowskiego o Bogu i wydekłamał go półgłosem.

Zelma nie rozumiała wszystkich słów — ale

odczuła potęgę i olbrzymi rozmach wspaniałych strof.

— *C'est sublime!* zawołała entuzjastycznie — powiedz co jeszcze.

Zaczął: smutno mi Boże!

Gdy skończył, ujrzał w jej oczach łzy.

— *Maleńka dziecina — c'est l'enfant* — szepnęła.

— *Tak un tout petit.*

— *Si petit* — rozłożyła dłonie na miarę niemożliwości — i wybuchnęła nagle spazmatycznym, wstrząsającym pierś i trzewia płaczem. Mirski zaczął ją uspakajać, wreszcie zniecierpliwiał się i rzekł dość ostro:

— Przystaniesz!

Umilkła natychmiast i stała pokornie, łykając łzy.

Gdy zaś Mirski podniósł niespodzianie rękę, chcąc wskazać spadający właśnie meteor — w oczach jej odmalował się przestach, paniczne niemal przeżenie, z którym mu się rzuciła błagalnie do nóg.

— Co ty wyrabiasz! — podniósł ją zdumiony.

Drżała cała jak w febrze, nie mogąc złapać

interesom poszczególnym ludności uprzywilejowanej.

Działalność Banku Włościańskiego, mającego służyć w zasadzie potrzebom ludności rolniczej, przekształca się na kresach znowuż w specjalne narzędzie faworyzowania interesów uprzywilejowanych.

We wszystkich zakresach zbiorowego życia kulturalnego i społecznego „obcoplemieńcy“ i kresy bądź są zredukowani do organizowania się o siłach własnych, bądź podporządkowani interesom ludności uprzywilejowanej. W każdym zaś razie i zawsze są poza nawiasem państwowości, która ich conajwyżej w pewnych ramach toleruje, ale nigdy im nie służy i ich wyrazem nie jest. Nawet bowiem w tych dziedzinach, w których „obcoplemieńcy“ z praw obywatelskich korzystają, jak w prawie przedstawicielstwa do Izby, udział ich w życiu państwowym i zakres wyznaczonego im wpływu, są zredukowane do minimum.

Konsekwencje systemu tego są oczywiste. „Obcoplemieńcy“ i kresy, nie znajdując dla siebie w ramach państwowości wyrazu, muszą się mieścić poza nią. Jest to *fakt*, stworzony przez nacjonalizm rosyjski. Nie chodzi tu o to, co być powinno, ale o to, co jest. Aspiracje „obcoplemieńców“, ich potrzeby, ich życie realne,—są poza gruntem społecznej państwowości rosyjskiej. I jeżeli klasy wyższe i specjalne kierunki nacjonalistyczne wśród „obcoplemieńców“ szukają jednak kontaktu i kompromisu z nacjonalizmem rosyjskim, dbając przedewszystkim o zachowanie „status quo“ społecznego i bojąc się konsekwencji gruntu państwowego, to demokracja „obcoplemieńska“ ma z natury rzeczy drogę przed sobą wytkniętą całkiem wyraźnie: jest nią 1) organizowanie życia zbiorowego na zasadzie samopomocy, bez oglądania się na pomoc państwową, i 2) sojusz ścisły z demokratyczną lewicą rosyjską, stanowiącą opozycję względem panującego nacjonalizmu.

Demokracja bowiem rosyjska jest niemniej od „obcoplemieńskiej“ i kresowej zainteresowana w obaleniu kursu nacjonalistycznego w państwie. Pod płaszczykiem nacjonalizmu tego ukrywają się bowiem najbardziej poziome apetyty rosyjskich klas uprzywilejowanych, szukających żeru na pastwiskach obcych i własnych, pozorując istotne tendencje swoje w oczach

głosu, aż wreszcie wyjąkała, łopoczącemi i z resztą lęku wargami:

— Myślałam, *que tu vas me battre...*

— Ja coś znowu... co za głupi pomysł!

— Tak! tak! ja głupia! — powtarzała cała jeszcze zmieniona, zapomniałam, że ty — inny, ty — poeta! Mirski popatrzał na nią badawczo i rzekł:

— Kto cię bił i kiedy?

Milczała długo, czoło jej się zmarszczyło jakby wysiłkiem namysłu — *Tout passe* — machnęła ręką... chodźmy już, bo zimno, dodała — a gdy się kładli, wymówiła cicho:

— Gdybyś chciał jednak kiedy, to dobrze, tylko *pas trop fort* — i po twarzy jej przeleciał nikły podskórny rumieniec.

Było to pierwsze oddawna i jedyne niejako erotyczne jej napomknienie; stopniowo bowiem wyzbyła się w stosunku do Mirskiego wszelkich zmysłowych pierwiastków i inicjatywa w tym kierunku nie wychodziła od niej już nigdy.

Serdeczne uwielbienie, duchowe obcowanie z poetą, słuchanie jego głosu i wierszy, z których część umiała na pamięć, wystarczało jej zupełnie.

mas ciemnych krzykliwemi demagogicznymi hasłami w obronie Rosji przed zachłanną intrygą „inorodców“.

Michał Römer.

Zawierucha cerkiewna.

(Korespondencja własna).

Petersburg, d. 29 stycznia.

Ks. Meszczerskij w jednym ze swoich ostatnich feljetonów opowiada, jak ktoś, powróciwszy po długiej niebytności (od sierpnia roku zeszłego) do Petersburga — i, rozejrzawszy się w stosunkach politycznych, zadał sobie pytanie: „czyż to prawda, że P. A. Stołypin już nie żyje?“ Do tego stopnia nic się nie zmieniło; te same prądy i kierunki, ci sami ludzie u steru, te same objawy w życiu parlamentarnem. Ktoś z przyjaciół odparł pytającemu:

„Nie, Stołypin umarł, lecz to co pan widzi i słyszy i co pana uderza niemiłe, jest stypą po Stołypinie. a nowy „Stołypin“ mądrze robi, że pozwala ulatniać się stołypinowskiej atmosferze i nie przeszkadza III Dumie wesoło znosić swych przedśmiertnych drgawek.“

„Może i tak jest,—dodaje od siebie publicysta: — pożyjemy, zobaczymy.“

Ta anegdota zwraca na siebie uwagę z tej racji, iż coraz częściej dają się słyszeć głosy, iż orgja nacjonalizmu zbliża się ku końcowi, że W. M. Kokowcew spokojnie patrzy na to, jak rozszalały byk nacjonalistyczny w swym pędzie zbliża się do muru, o który rozstrzaska sobie rogi...

Coprawda naczelnik rządu w roli obojętnego widza jest nieco dziwną postacią, a idea „nie sprzeciwiania się złemu“, wyjęta z nauk Tołstoja, nie rościła sobie nigdy prawa do zajęcia miejsca wśród wytycznych polityki rządowej...

Ale zapomnijmy, że tak jest w istocie..., wówczas będziemy musieli skonstatować, iż spadkobierca i wykonawca woli Stołypina „do czasu“ —

Poddawała się jednak posłusznie jego żądaniom czasem beznamiętna, ale zawsze tkliwa.

Truchlała na samą myśl, że mogła by ten jedyny w jej sytuacji ludzki i to z takim, w jej mniemaniu, niezwykłym człowiekiem stosunek utracić.

Czuła, jak jej zamarła i niemal doszczętnie zwiędła, zatratowana dusza przy nim rozkwita i zamrtwychwstaje. W godzinach jego obecności miała wrażenie, że się wydzwiga ze swego grobu na jasne słońce. że nie jest już w tym domu, ale daleko poza jego murami i to z poetą sam na sam.

Za to jedno gotowa była błogosławić swej całej doli, gdyby nie głuche poczucie, które chwila mi powstawało w niej i wkraczało jak potwór w progi świadomości, że tak wiecznie trwać nie może, że ten stosunek ich nie ostoja się do końca, że to się kiedyś musi urwać nagle i bezpowrotnie.

Ale w trybie życia z dnia na dzień odzwyczaiła się tak dalece dłużej zastanawiać nad przyszłością, że tego rodzaju przewidywania, niby raptowny bolesny skurcz, chwytały ją na bardzo krótko i mijały prędko.

(c. d. n.)

omylił się w swych rachubach, nie biorąc pod uwagę, jak zwykle, samego życia... Życie rosyjskie, dość opornie układające się w szablony przewidywań i przesłanek, budowanych według analogji, obfituje w niespodziane fakty i zjawiska, burzące wszelkie wyrachowania, i nie p. Kokowcewowi sądzonem jest być pogromcą „nacjonalizmu“.

„Wołga w swoim czasie słała nam buntowniczych chłopów (Stieńka Razin, Pugaczew), Wołga stworzyła nam prokursora ruchu 1905 roku (Gorkija i bosiaków), Wołga dała nam teraz rewolucjonistów cerkiewnych — Heljodora i Hermogenesa“, — skarży się Borys Suworin.

Ci oto szumnie nazwani rewolucjonistami cerkiewnymi — Hermogenes i Heljodor są niespodzianką w danym momencie, która pokrzyżowała rozmaite plany, zamąciła ułożone stosunki i kombinacje.

Jak w walce z P. A. Stołypinem o kurje narodowościowe w 6 gub. Zachodnich opozycja rosyjska znalazła się w jednym obozie z reakcją, również i w sprawie Hermogenesa — zaszedł szereg najmniej przewidywanych porozumień, a jednocześnie i niesnasek.

Inteligencja rosyjska, która chociaż w lecie głośno protestowała przeciw przywilejom bezkarności, przysługującym o. Heljodorowi, obecnie mimowoli czuje pewne sympatie do Hermogenesa i jego pomocnika, jako do walczących z urzędową cerkwią, jednocześnie najskrajniejsi reakcyoniści również widzą w nich ofiary i walczą o ich rehabilitację.

Nacjonałiści znaleźli się w położeniu dość krytycznem: iść z Hermogenesem, to znaczy walczyć z Eulogjuszem, głównym bodaj wrogiem Hermogenesa w Synodzie, iść przeciw Hermogenesowi, podczas, gdy najbliżsi sąsiedzi prawnicy są z nim — jest również niebezpiecznem. To samo tyczy się p. Guzskowa i jego zuchów — październikowców.

Z sytuacji tej obecni kierownicy Dumy wybrnęli, trzeba przyznać, z ich punktu widzenia dość niezręcznie: wnosząc i przyjmując nagłą interpelację z powodu konfiskaty pism, zawierających artykuły przeciwko Rasputinowi, osobowości, która odegrała decydującą rolę w losach Hermogenesa.

W ten sposób nie oświadczając się bezpośrednio za Hermogenesem, centrum rzuciło rękawicę Rasputinowi. A wszak Rasputin i Wł. Eulogjusz w jednym w tej sprawie szli kierunku. Gmatwani, jak widzimy, zwiększa się, zapaśnicy przestają odróżniać sprzymierzeńców od wrogów, a rząd przynajmniej w osobie premiera pozostaje biernym tylko widzem, choć jeden z uczestników tegoż „jednolitego gabinetu“, pan nadprokurator Sabler bierze czynny udział w walce...

Byłoby niesłusznem przypuszczenie, iż ta walka jawna i zakulisowa — to wyraz zewnętrzny jakichś realizujących się dążeń reformatorskich w cerkwi prawosławnej. Chociaż przenoszą tę walkę na teren ogólnych zasad niezależności cerkwi od władzy świeckiej, chociaż komisje dumskie przyjmują rozmaite głośne dezyderaty o zwołaniu soboru, o reformie parafji i t. p., to jednak trudno przypuścić, aby Rosja była w przededniu reformacji religijnej: zbyt areligijną jest masa społeczeństwa rosyjskiego przy wszelkich pozorach religijności i obrzędowości.

Natomiast cała zawierucha cerkiewna, która zasłoniła sobą na czas pewien wszystkie niemal

kwestje polityczne, jest bezwątpienia skutkiem rozpolitykowania się duchowieństwa, — tego faktu, który tak ciężko dał się odczuć wszystkim częściom państwa, a bodaj, że najciężej tym częściom jego, jak Litwa i Ruś, gdzie duchowieństwo to opierało swą siłę na walce wyznaniowej i narodowościowej.

Politykujący duchowni prawosławni — to armja czołowa nacjonalizmu: z nich mamy Eulogjusza, Weraksinów, Jakubowiczów i Juraszkiwiczów, z nich drogą ewolucji dostała Rosja Hermogenesów i Heljodorów. Niesłusznie bodaj skarży się p. Borys Suworin na Wołgę, wszak o. Heljodor to dziecię Ławry Porczajowskiej, to produkt nieszczęśliwego kraju Zachodniego, obdarzonego ziemstwem z kurjami nacjonalistycznymi.

Zawierucha obecna w cerkwi, to apogeum tej polityki duchowieństwa; nastąpić winna po niej siła konieczności, fala powrotna. Nic też dziwnego, że nacjonalizm i oktobryzm straciły głowy i rzucają się wśród wspanienych fal burzy cerkiewnej z łódki na łódkę — od Eulogjusza do Hermogenesa, od Heljodora do Rasputina.

Jako bierni świadkowie przypatrujemy się tym wypadkom, lecz jedno możemy śmiało orzec: jakkolwiek będzie wynik walki, czy ostatecznie słowo należeć będzie do Rasputina, czy do Hermogenesa, w każdym razie politykujące duchowieństwo na razie musi zejść ze sceny politycznej; organizm państwowy, potrzebujący takiej kuracji jak rosyjski, nie może sobie pozwolić na luksus walk dogmatyczno-kościelnych i siłą wypadków musi je odrzucić na bok...

Może dlatego i tym sporom p. W. M. Kokowcew przypatruje się z oddali milcząco — w oczekiwaniu tej fali, która zmyje i uniesie politykujących batiuszek i przez to samo sprowadzi niemal do zera energję i pomysłowość nacjonalistów, zrodzonych w kraju Zachodnim i odżywianych jadem nienawiści narodowościowej i wyznaniowej. sączącym się z walczącej cerkwi.

„Zmierzch“ przedniej straży nacjonalizmu zoologicznego będzie dla ludności Litwy i Białej Rusi w każdym razie z korzyścią.

St. Gr.

Nasze cnoty polityczne.

P. Iza Moszczeńska, znana publicystka, zamieściła w „Kurjerze Porannym“ artykuł poniższy, który przedrukujemy *in extenso*, jako zawierający wiele trafnych spostrzeżeń i uwag w stosunku do społeczeństwa polskiego w Królestwie. *Mutatis mutandis* dają się one zastosować również do społeczeństwa polskiego w naszym kraju.

W prasie bez porównania częściej spotykają się kłótnie niż dyskusje, rzadziej jeszcze toczy się polemika rzeczowa o kwestje żywotne i zasadniczej doniosłości. Dlatego na szczególniejszą uwagę zasługuje wymiana zdań wszczęta przez pp. Kurnatowskiego i Rzymowskiego. Pierwszy w artykule p. t. „Zapomniamy program“ w „Myśli Niepodległej“ zaznacza, że w społeczeństwie brak demokracji bezprzymiotnikowej, to jest demokracji systematycznie, planowo, a sprężynie zmierzająca do urzeczywistnienia naczelnych założeń stronnictw demokratycznych całego świata, „politycznego demokracji i federalizmu, kulturalnej wolności“.

ności i społecznego solidaryzmu". Istnieje stronnictwo, mające w swym programie wszystkie te punkty, lecz zachowuje się biernie, nie czyni żadnego wysiłku dla oddziaływania na zewnątrz, rozszerzania swego wpływu, rozwijania w życiu zasad w programie zamieszczonych.

Innemi słowy konstatuje p. Kurnatowski niejednokrotnie już stwierdzone zjawisko, że demokraci polscy nie zdołali stworzyć organizacji, nie umieją działać zbiorowo, idą luzem, w rozsypkę, a stąd nie stanowią siły i nie wywierają wpływu. Winę tego stanu rzeczy składa p. Kurnatowski na stronnictwo postępowe.

Pan Rzymowski w odpowiedzi swej p. t. „Gorzkie żale — gorzkie prawdy“ — pogłębił i rozszerzył poruszoną przez pana K. kwestję. Jeżeli jedna grupa demokratów i postępowców nie działa tyle i tak, jak program wskazuje, a potrzeby społeczeństwa żądają, to gdzie są inni? Czy można odpowiedzialność za to, co się dzieje, lub za brak tego, co się dzieć powinno, składać na pewne jednostki i to jeszcze takie, którym nikt nie zarzuci „ani szalonych ambicji, ani żądzę przewodzenia tłumom“ lecz raczej „słabość ekspansji i brak energii“.

„Jestże bezczynność kilku jednostek tej wielkiej śmiertelnej niemocy naszego społeczeństwa przyczyną?“ pyta i zaraz znajduje odpowiedź.

„Nie przyczynę zastęju obecnego w nich widzę, lecz symbol“.

Przyczynę bierności i niemocy i to nietylko w obozie postępowym lecz na całym obszarze naszego życia publicznego, jest wedle pana Rz. to, „że u nas nikomu dzisiaj dla sprawy publicznej palca podjąć się nie chce“.

Twarde słowo — ale dobrze, że je nareszcie ktoś wypowiedzieć się ośmielił, że je tak wprost w oczy rzucił społeczeństwu, któremu nałóg bierności tak wżarł się w krew, iż w końcu zamiast za chorobę za cnotę go poczytuje.

„Każdy polak z natury czuje się obdarzonym prawem do kwletyzmu; jeśli ze sfery osobistego życia wstępuje na arenę pracy społecznej i politycznej nie wątpi ani chwili, że czyni komuś łaskę“. „Poczucie obowiązku społecznego odbywa się u nas bardzo rzadko. A gdy nawet odezwie, nikt nie wierzy, by to był czysty głos obowiązku. Ogół sądzi, że to kaprys, upodobanie, wybryki“.

Uwagi te są równie trafne jak słuszną jest zasada.

„Za losy narodu odpowiedzialni być muszą wszyscy obywatele; za losy demokracji wszyscy demokraci“.

Te słowa należałoby wyrzeć na kamiennych tablicach i wystawić wszędzie w miejscach publicznych, by wpoić ogół jako pierwsze przykazanie polityczne, przeciw któremu dziś każdy i na każdym kroku grzeszy.

Wszystkie koleje, jakie przechodziliśmy w ciągu ostatnich siedmiu lat, stwierdzają powszechny zanik zmysłu politycznego, wyrażający się w zupełnym braku obowiązku i poczucia odpowiedzialności. Jak się zachował i zachowuje ogół wobec swych oficjalnych przedstawicieli w Izbie prawodawczej?

Jedni, ci, którzy ze swego grona wyłonili ową reprezentację, czują się najzupełniej zwolnieni od krytyki i kontroli nad jej działalnością. Co więcej: krytykę i kontrolę poczytują jako gorsząca nie ufność. Radzi, że na jedenastu ludzi złożyli cały kłopot myślenia o sprawie publicznej, wmawiają

na swą pociechę i na rozgrzeszenie swej bezczynności, że z samym faktem wyboru spłynął na owe jednostki jakiś nadprzyrodzony dar wszechwiedzy. Muszą wiedzieć, co robią... znajdują się w samym ognisku spraw politycznych; są posłami, ponoszą całą odpowiedzialność, trzeba im pozostawić swobodę działania — i broń Boże — nie przeszkadzać.

Kiedy Koło polskie zabrnęło w awanturę neosłowiańską, dopiero ocknęły się masy jego popularnych i ufnych wyborców i co uczyniły?

Oto grupy całe i to coraz liczniejsze jednostki zaczęły się publicznie odpryskiwać wszelkiej z niem łączności i odpowiedzialności za to, co się dzieje. Wielkie umycie rąk powtórzyło się po raz drugi po sławnym komunikacie narodowej demokracji w sprawie szkolnej. Okazało się, że w ciągu pięciu lat zasiadania Koła polskiego w Dumie istniało między całem stronnictwem a jego sztabem wielkie nieporozumienie, możliwe tylko tam, gdzie jałowe hasło jedności nakłada na ogół niebezpieczny i zgubny obowiązek bezmyślności. Wbrew temu, co się powszechnie utrzymuje, jest w naszym społeczeństwie organiczna, żywiołowa potrzeba posłuszeństwa, poddawania się jakiegokolwiek komendzie. Ludzie szukają, kogoby słuchać mieli, a najczęściej nie mają kogo słuchać, bo nikt nie chce na swe barki brać odpowiedzialności za wydany rozkaz, nikt nie chce, albo nie umie rozkazywać. Zdarzy się czasem jakiś ochotnik o kwalifikacjach kaprala a minie feldmarszałka, który zabawi się w komendę, a po kilku oczywistych i zbyt już skompromitowanych głupstwach rzuca ją na złość tym szeregom, które w błoto wprowadził: „Nie chcecie—to bawcie się sami“.

Stokroć wygodniejsza jest pozycja tych, którzy sami nigdzie nie idą i nikogo nie prowadzą, tylko z bezpiecznego kącika przyglądają się, ciekawki co to będzie?

Najulubiejszą też u nas rolą w polityce jest rola spektatorów.

Oni mają zawsze rację. Wiedzieli przecież, że się wszystko na nic nie zda, że zawsze się źle skończyć musi. Sami w swoim przekonaniu nie odpowiadają za nic, nie pomni, że jeśli niepowodzenie zamierzeń jest skutkiem niedostatecznej siły — winę ponoszą ci, co ich nie poparli, jeśli zaś wynika z błędnych dróg — ci, co widząc błędy, nie prostowali ich.

Ten żywiołowy lęk przed wszelką odpowiedzialnością jest wyjaśnieniem wielu stałych zjawisk w naszym życiu publicznym. Ledwie jakaś grupa osób podejmie myśl nową, wystąpi z jakąkolwiek inicjatywą, zaraz odzywają się wątpliwości. Kto wam dał mandat? Często głosy odzywają w jej własnym gronie: „Czem my jesteśmy? Czy jesteśmy przez kogo upoważnieni, czy jesteśmy prawomocni?“

Zamiast szukać w sobie sankcji działania, szukają po za sobą! Jeśli jednak, słusznie czy nie słusznie, wytworzy się sugiestja, że ktoś ma prawo rozkazywać — nikt treści rozkazu nie krytykuje.

Komenda może być głupia, byle nie była — jak się u nas mówi — samozwańcza.

Powinno być przeciwnie. Człowiek, który silnie wierzy w pewną ideję, jako zbawczą i dla niej poświęca siebie, ma prawo w jej służbę zaciągnąć innych, wpajając w nich swą wiarę, ma obowiązek realizować wszystkimi siłami, jakie dla niej zmobilizować może, a sankcja jego trwa póty, póki

istnieje zgodność między jego hasłem a czynem, jego celem, a celem tych, którzy za nim idą.

Ambicje polityczne, stanowiące u nas niesłychaną osobliwość, zamiast być poczytywane za skarb drogocenny, są piętnowane niby potworność.

Apolityczność, będąca wynikiem naszego zaścianku i społecznego barbarzyństwa, uchodzi za cnotę, posiada urok skromności i niewinności. Siła przekonań u bojowników idei, narażających się na pociski przeciwników — wzbudza odrazę, jako coś dziwnie ordynarnego i hałaśliwego. Lubujemy się w cichych cnotach; piętnujemy wszelką agitację, choć ona jest nieodzownym czynnikiem publicznego życia, a skasowanie jej — abdykacją woli ludzkiej na rzecz ślepego przypadku. Ze wszystkich poświęceń, ze wszystkich ofiar, jakich dobro publiczne wymagać może, najwyższą wynosimy ofiarę z przekonań.

Dlatego to wszystko, co się u nas dzieje — dokonywa się poza odrębem naszej świadomej woli, dzieje się coś z nami, lecz nie dzieje się przez nas i mimo nielicznych jednostek, które czegoś dążą, a na które ogół spogląda z życzliwym lub wrogiem zaciekawieniem, jak na popisy solistów, którzy mu dają bezpłatne widowisko. Na widnokręgu naszym zamiast gwiazd przewodnich — błyszczą same znaki zapytania.

I. Moszczeńska.

Z życia litewskiego.

Perspektywy przedwyborcze.

W roku ubiegłym wypłynęła znów na porządek dzienny sprawa wyborów do Dumy, które się mają odbyć w roku bieżącym. Oczywiście, że wśród litwinów główna uwaga jest zwrócona na gubernję suwalską i kowieńską, ponieważ tylko w tych dwóch mogą mieć zapewnione mandaty poselskie. W prasie litewskiej sprawa przyszłych wyborów była jeszcze zresztą dotychczas mało omawiana i dopiero w ostatnich czasach wypływać zaczęła na szpalty pism. Dotychczas jest ona dopiero w stadium przygotowawczem. Wyraźnie sformułowanych decyzji niema jeszcze.

Od początku ery konstytucyjnej w Rosji litwini wysyłali konsekwentnie do Dumy przedstawicielstwo opozycyjne, przeważnie lewicowe, dając przez to najlepszą odprawę insynuacjom pokątnym o rzekomym sojuszu i pakcie między litwinami i ich ruchem narodowym a rządem rosyjskim i jego polityką w kraju. We wszystkich trzech Dumach posłowie litewscy bronili reform demokratycznych i praw ludu. Byli z pośród nich kadeci, byli bezpartyjni postępowcy, byli trudowicy, byli socjalni demokraci.

Obecnie sytuacja wyborcza dla litwinów przedstawia się tak: gubernję suwalską mają zapewnioną całkowicie. Jeżeli może być tam mowa o walce, to tylko o walce wewnętrznej między klerykałami a demokratami. W gubernji kowieńskiej stosunek sił jest bardziej skomplikowany. Kurja włościańska w połączeniu z kurją miejską mają nieznaczną jeno przewagę nad kurją ziemiańską i to pod warunkiem dochowania ścisłej solidarności wyborców z dwóch pierwszych kurji połączonych.

Kandydatury litewskie nie są jeszcze ustalone. Najwyraźniejszą jest dotychczas kandydatura posła Bułata z gub. suwalskiej. Z gub. kowieńskiej zarysowują się wprawdzie ewentualne kandydatury, ale jeszcze niewyraźnie. Wymieniają imiona p. Słazewicza, p. Petrulisa, p. Yczasa i p. Tumenasa, z których zwłaszcza trzej pierwsi są ludźmi zdolnymi, światłymi, szczerze postępowymi, znanymi w społeczeństwie litewskim. W grudniu, podług informacji prasy kowieńskiej, odbyła się podobno narada działaczy klerykalnych w Kownie, na której zaprojektowano kandydatury: redaktora miesięcznika „Draugija“, ks. Dąbrowskiego, ks. Tumasa, następnie b. posła do I Dumy, ongi trudowika, dziś klerykała, p. Kubiliusa i kilku innych, których nazwisk prasa nie podaje.

Wogóle w stosunku do wyborów, jak też w całym ruchu litewskim w dobie obecnej, daje się zauważyć wyraźny antagonizm między klerykałami a demokratami. Elementy zaś nacjonalistyczne ciężą raczej do klerykałów, niż do demokratów.

W gub. suwalskiej szanse kandydatury p. Bułata, obecnego posła, zdają się być zapewnione. Tam nawet elementy umiarkowane i nacjonalistyczne gotowe są ją poprzeć. Księża, którym kandydatura ta nie trafia do gustu i którzy pragnęli by przeciwstawić jej jakąś inną z własnego obozu, nie będą mogli nic wskórać. Nie mogąc nic konkretnego narazić przeciwko kandydatom tej przedsięwzięć, próbują oni wszakże zdyskredytować obecną działalność poselską p. Bułata, aby bądź co bądź go podkopać.

Organ kleru sejneńskiego „Szaltinis“, robi p. Bułata odpowiedzialnym za odrzucenie przez Dumę poprawki o języku litewskim w samorządzie miejskim w gub. suwalskiej. Poprawka ta była wniesiona właśnie przez p. Bułata i przez niego bronią, atoli większość Dumy ją odrzuciła. Owóż organ klerykalny zarzuca p. Bułatowi nieumiejętną i niedbałą obronę wniosku, zarzuca, iż nie zdołał zgromadzić lepszej i nowszej statystyki językowej.

Do zarzutów tych „Szaltinis“ wciska zresztą insynuację, chcąc podsunąć czytelnikom — przyszłym wyborcom myśl, że koła miarodajne w Petersburgu chętnieby uwzględniły poszczególne językowe żądania litewskie, gdyby je popierał ktoś inny, niż p. Bułat. Radykalne lewicowe oblicze polityczne p. Bułata niepokoi klerykałów. Kowieńska klerykalna „Vienybe“ śpieszy również za „Szaltiniszem“ dyskredytować p. Bułata, a nacjonalistyczny wileński organ „Viltis“, aczkolwiek umiarkowane, ale też sekunduje klerykałom w tej kampanji przeciwko p. Bułatowi.

Jak się na tle wyborów ułożą stosunki w gubernji kowieńskiej i czy tu klerykali wystąpią przeciwko demokratom z akcją samodzielną i jak takową w praktyce wykonać zamierzają — dotychczas niewiadomo. Fakt jest tylko ten, że klerykali własne osobne kandydatury szykują, a stąd logiczny wniosek, że w jakikolwiek sposób zechcą je przeciwko kandydatom demokratycznym forsować.

W demokratycznej prasie litewskiej ukazała się niedawno w tej sprawie sensacyjna wiadomość. Mianowicie w artykule o wyborach w № 2—3 „Lietuvos Žinios“ z d. 5 (18) stycznia r. b. nie podpisany autor (podpis: N. N.) twierdzi, iż wie ze źródeł wiarygodnych, że klerykali litewscy „w zbliżających się wyborach z gub. kowieńskiej zamierzają utworzyć blok nie z wyborcami miej-

skimi—żydami, lecz z „katolikami ziemianami“. Wiadomość tę oczywiście pozostawiam na odpowiedzialności pisma, z którego ją cytuję. Ale prawdopodobieństwo takiej kombinacji wyborczej nie jest wykluczone.

Dla klerykałów litewskich, pomimo ich nacjonalizmu, bliższymi są pod względem aspiracji społecznych ziemianie-polacy, niż liberalni wyborcy miejscy. Wiedzą też klerykali, że wyborcy miejscy—żydzi, wchodząc w blok z wyborcami włościańskimi—litwinami, poprą wśród litwinów chętniej kandydatury demokratyczne i radykalne, niż kandydatury pochodzące z ramienia kleru.

Jeżeli wiadomość o zamiarach klerykałów, podana przez „Lietuvos Žinios“ jest prawdziwa, to fakt ten jest wielce charakterystyczny dla wykazania istotnych dążeń społecznych klerykałów, ukrytych pod hasłami nacjonalizmu.

Ci, co najwięcej przeciwko polakom i polskości, jako takim, krzyczą, ci pierwsi podadzą chętnie dłoń tymże polakom, gdy są nimi obszarnicy. Natomiast demokraci litewscy, którzy tej nienawiści do polskości, jako takiej, nie mają i uznają zasadę spółżycia na zasadach obywatelstwa krajowego, z obszarnikami i konserwatystami nie pójdą, nie dlatego, że są oni polakami, boć i mieszczenie—żydzi litwinami nie są, ale dlatego że stanowisko demokratyczne i ludowe dyktuje im konsekwentnie potrzebę bloku właśnie z kurją miejską, nie zaś ziemiańską.

Tak się przedstawiają kombinacje przedwyborcze u litwinów w ich stadjum obecnem.

* * *

Kończąc ten retrospektywny rzut oka na ubiegły rok 1911 u litwinów, zaznaczam, że oczywiście wszystkich faktów i zjawisk nie wyczerpałem. Dałem tylko zarys kilku momentów głównych, które mi się wydały bardziej godne uwagi. Jak zaznaczyłem we wstępie, rozwój kulturalny i społeczny litwinów płynie ewolucyjnie i składa się z gęstej sieci wysiłków poszczególnych, przeważnie drobnych i mrówczych, które dopiero w zespole dają wierny obraz całości.

Zaznaczę jeszcze, że do najwybitniejszych spraw, które zajmują dziś społeczeństwo litewskie, należy sprawa szkolna (oświata ludowa) i sprawy, związane z ruchem spółdzielczym oraz wogóle podniesieniem kultury rolnej w gospodarce włościańskiej.

mr.

Gwary ludowe i prowincjonalne w powieści polskiej.

Każdy powieściopisarz obyczajowy, pragnący dać wierny obraz epoki lub środowiska, w którym się akcja powieści rozgrywa, musi dbać przede wszystkim o prawdziwość swych postaci, o ich naturalność, o wierność wizerunku zewnętrznego i wewnętrzną psychikę bohaterów.

Trudność to nie lada patrzeć na świat rozmaitemi oczyma, mówić rozmaitą mową odpowiednią danemu osobnikowi i wyrażać prostą gwaraą chłopską lub subtelnymi dyssertacjami literata uczucia duszy pierwotnej lub skomplikowanej.

W naszych powieściach obyczajowych, aczkolwiek nikt nie zaprzeczy, że pierwiastek ludowy

ma niepoślednie miejsce—psychika, a jeszcze bardziej gwara i niejako koloryt ludowy nie bywały dotąd uwzględniane należycie. Naogół mało było wżycia się w psychologję naszego ludu, zwłaszcza litewskiego i białoruskiego. Nie powinno to dziwić: w porównaniu do otwartości mazura i do pewnej siebie, nie rachującej się z niczem buty góralskiej lud nasz jest skryty, niedostępny i pozornie obcy: mową, charakterem i uczuciami.

To może sprawiło, że podczas gdy mamy moc utworów, kędy gwara mazurska jest szeroko uwzględniona, kędy Reymont dał jej cechy wprost epiczne w swej powieści „Chłopi“ — a znów Tetmajer najmniej znającym mowę górali filistrom narzucił wprost nibelungowe wizje swemi szkicami z Podhala, rzeźbiąc je słowem melodyjnym i jędrnym — w powieściach traktujących o stosunkach miejscowych kazano mówić ludowi dowolną mową literacką lub jak np. w powieściach Rodziewiczówny dziwną jakąś patetyczną polszczyzną niewiadomej epoki i stanu. A przecież wyrażenia wzięte żywcem z ust ludu nie mogą nie być uwzględniane w utworach obyczajowych — nadają one świeżą piękność, nową orientację artystyczną i utrzymują wierność rysunku, wzbogacają literaturę naszą oryginalnością wyrażen, oraz zaciekawiają często archaizmem zwrotów przechowanych z dawnych wieków w ustach ludu, jak owad w bursztynie.

Mało kto badał i ujmował w formę powieściową gwara polską używaną przez litwinów i białorusinów lub przez zaściankową szlachtę naszych „okolic“.

Robiła może ona wrażenie raczej skażonej polszczyzny niż samoistnej używanej pomiędzy ludem mowy.

Poniekąd tak jest, lecz nie zupełnie, gdyż i ów dialekt z litewską polski i ów polsko-białoruski są coprawda polszczyzną od siedmiu boleści, jeśli do niej stosować prawidła gramatyki Małeckiego; niemniej jestto mowa charakterystyczna dla znacznej części ludności poszczególnych prowincji, i autor, chcący dać szczerzy obraz Litwy lub Białejrusi, nie może kazać mówić ludowi naszemu polszczyzną z nad Wisły.

Orzeszkowa umiała w swych powieściach ludowych jak „Cham“, „Niziny“, „Dziurdziowie“ uwzględnić te warunki i dać nie tylko świetny obraz psychiki, ale i właściwy koloryt i język naszego ludu.

W niektórych nowelach p. Jeleńskiej odnajdujemy też wyrażenia swojskiej tutejszej polszczyzny, owej kulawej, przetkanej błędami mowy, ale tak charakterystycznej, tak swojskiej. Polszczyźnie znów „kowieńczuków“, t. j. litwinów, mówiących po polsku, gwarze różniącej się akcentem, wyrażeniami i wymową do polszczyzny białorusinów, dał szerokie pole popisu p. J. Weyssenhoff w „Sobolu i Pannie“ powieści, gdzie po raz pierwszy może w naszej literaturze w ogólnym obrazie ściśle określonej okolicy litewskiej niema fałszywych tonów, niema literackiej przeróbki nastrojów—tylko bezpośrednie świeże, jak ów krajobraz olchowo-jeziorny—wrażenie oddane wiernie, a malowniczo.

Dla czytelników Litwy i Białejrusi—powieści takie lub rodzajowe obrazki o kolorycie miejscowym mają szczególny urok.

Z kart takich książek przemawia coś dziwnie bliskiego, swojskiego.

Przypominają się różni sąsiedzi z wiosek i zaścianków, dawne opowieści sług-przyjaciół, gwarzących pod kaflowym piecem garderoby o pań-

szczyżnianych czasach i „pańskim buńcie“, wykrzykniki starych niań komicznie i bez najmniejszego pojęcia o froeblovskiej higienie wychowujących kochanych „paniczyków“ i „panieneczki“.

Dlatego gdy do nas z książki której przemówi: „ach jej, ci widziałaś, taka historja!“ — uśmiechamy się do takiej przemowy, jak do dobrze znajomych, przyjaznych pogwarów.

Mam przed sobą próbkę w tym kierunku.

W zbiorku wcale zajmujących, acz cokolwiek zmanierowanych stylowo nowel p. Kordzikowskiej „Rozita kosę niech rozplecie“, jedno z opowiadań pisane jest całe litewską polszczyzną, którą się wysławia stara sługa, mówiąca o dawnych czasach, kiedy to: „zaczałszy się, pod okienko przypadszy, różańczyk mówionc nasłuchuje. Asz tu pod sam północek psi pocznon ujadać. Trzonska chwytą, bo i ujadajon po wiadomemu. W ciemnicy, w dalekości uch, uch brzenknie cości czasem, to zaskrzypion płozy uf, uf, po wiadomemu gadać zaczyna gościniec...“

Biedulukiż wy moje bieduluki — na co wam ot przyszło, matka na co rodziła! Poczwszy widać, z pieca kulkami skuliwszy się, jak jeden człek! jak zajonce, Krakinoska Ty Matko Przenajświętsza... chłórys tylko już za wrotyma — o Jezu — krzyknół aż w kości poszło“.

No i przy pomocy „Duka świętego“ i „chitrości“ Pani wyratowała Rozita „paniulukasa Polka“ co „z liworwerem do lasu kodził“, a potem... księdzem zosłał, pieknym jak malina leśna“.

Nie wiem i nie przesądzam, czy dało by się pisać podobną polszczyzną całe powieści z życia np. zagrodowej szlachty, bo chłopi mówią w ten sposób tylko w stosunkach z dworem, pomiędzy sobą używając (nawet ci, co względnie czysto mówią po polsku), odpowiednio do miejscowości, litewskiej lub białoruskiej mowy.

Nie wiem, jak na utwory literackie tego rodzaju zapatrywali by się pp. krytycy, lingwiści i inni stróże czystości językowej.

Czyby nie traktowali prób podobnych jako wandalizmu popełnianego na naszej mowie ojczyznej? Pogląd taki byłby mojem zdaniem nie słuszny.

Polszczyzną tą mówią ludzie, których na lepszą nie stać, a którzy się i takiej sami dobrowolnie nauczyli, zastosowując ją i przerabiając stosownie do potrzeb i zakresu umysłu oraz zbliżając ją do właściwego języka ludu danych okolic.

Nadaje jej koloryt miejscowy charakter mowy chat zbratanej z mową dworu a wynikające z tego połączenia różne dziwolągi językowe i stylistyczne są właściwością odpowiednich okolic naszego kraju, mają często swe ukryte źródła i pochodzenie i jako konieczna charakterystyka naszego ludu na uwzględnienie, a może nawet i na próby literackie zasługują.

Hel. Rom.

Z mego notatnika.

Złudzenia i nieporozumienia.

P. Sołowiecz nie jest hojny.

Toleruje wprawdzie wspaniałomyślnie żywioł polski na Litwie i Białejrusi, bo cóż ma robić,

skoro ten istnieje? Lecz zapowiada kategorycznie, że „garstka polaków zajmie w naszym kraju także skromne miejsce, jakie obecnie zajmują t. zw. tatarzy litewscy“. P. Sołowiecz obiecuje najsołenniejszemu do tego doprowadzić i nie wątpi, że mu się to uda przy pomocy czytelników „Siew. Zap. Żizni“.

No, armja na szczęście nie straszna i lękać się jej niema powodu. Ale co za pewność siebie!

Mniejsza jednak o złudzenia p. Sołowiecza. Rozwieje je pierwiej lub później rzeczywistość, która śmieje się już teraz z jego teoretycznych wywodów, że białorusini a wielkorosjanie — to jedno. Przeczą bowiem temu — fakty.

Jeszcze bardziej komiczne jest twierdzenie, że białorusini mają wspólny bagaż tradycji historycznych z wielkorosjanami. Tego nawet Howajskij dowieść nie potrafił.

Ale p. Sołowiecz w pogardzie ma i historję i etnografję i nawet fakt realny istnienia i działalności „Naszej Niwy“. To są wszystko drobnotki wobec jego gorących chęci „złączenia wszystkich plemion i kresów rosyjskich w jedną potężną i harmonijną całość“.

Jeśli do tego upragnionego celu p. Sołowiecz będzie szedł tą samą drogą, co dotąd — to niedaleko zajdzie. Patrzenie bowiem na świat przez pryzmat własnych upodobań i przyjemnych dla się iluzji może być wprawdzie nader miłym zajęciem, kojącem rozigrane nerwy, ale nie wystarcza stanowczo do osiągnięcia zakrojonych na tak szeroką skalę zamiarów. A p. Sołowiecz widzi nie to, co jest, lecz to, co ujrzyć pragnie.

A oto dowód:

W wyznaniu „Przeglądu Wileńskiego“, że uważamy polaków nie za gospodarzy, lecz spólbobywateli kraju, dopatruje się usilnie cech jakiejś rezygnacji ze stanowiska samodzielnego i wysnuwa stąd wnioski, że polacy pójda do ciemnych mas z rosyjską mową i książką.

Zdawałoby się jednak, że zaznaczenie, iż polacy stanowią czynnik spólrzędny i mający prawo do rozwoju kulturalnego, powinno być wszelkie wątpliwości pod tym względem — usunąć.

Że społeczeństwo polskie stanowi mniejszość w porównaniu z litewskim i białoruskim — nie znaczy bynajmniej, by miało się wyrzec własnego „ja“ i zapomnieć o własnym istnieniu. Nie chcemy polonizować litwinów i białorusinów, lecz pragniemy uświadamiać ludność polską, która się składa w naszym kraju nie z samej szlachty jedynie.

To jasne, zdaje się nieprawdaż? Ale p. Sołowiecz, polemizując wciąż z hr. Ignacym Korwin-Milewskim, przyzwyczaił się widzieć tu tylko obszarników polskich i dlatego nie może zrozumieć naszego kierunku demokratycznego.

Refleksje po-karnawałowe.

Jeszcze krótki karnawał nie minął, jeszcze nie przyszedł czas na rozmyślenia wielkopostne, a już ten i ów posypuje sobie głowę popiołem i bije się w piersi i głośno swe grzechy wyznaje.

Jesteśmy bardzo grzeczni i bardzo niekulturalni — spowiada się w nadesłanym nam liście pewien — należy przypuszczać — zwolennik postępu, należący do t. zw. „towarzystwa“.

Naszemi stosunkami z bliźnimi — wyrzeka

dalej — kierują nie bezstronne i bezinteresowne pobudki, ale fałsz, obłuda, strach, lenistwo i obojętność.

Kłaniamy się na prawo i na lewo, nie szczegulując biletów wizytowych, ani zgięć karku, ani uprzedzającej grzeczności, ani fatygi, jeżeli chodzi o stosunki. Dla zasady, dla treści robimy jaknajmniej i przechodzimy nad nią do porządku dziennego.

Nie zapominamy o jourfixach, choćby były nadnudniejsze ani o wentach p. hrabiny, nie spieramy się ze „znanymi i szanowanymi“ osobami, chociażbyśmy je mało znali i jeszcze mniej szanowali, wygłaszamy poglądy polityczno-społeczne, jaknajmniej rażące dane otoczenie i „przez grzeczność“ szerzymy je dalej...

Jesteśmy bardzo grzeczni i bardzo mało kulturalni.

Brak nam szczerości w stosunkach, dobrej woli w pracy publicznej, lekceważymy swój czas a tembardziej cudzy, demonstracje przyjaźni mają na celu osobisty interes lub zbieranie materiału do obmowy. Nie mamy nawet odwagi swych wad i braków: potępiamy to, co gotowiliśmy zrobić za chwilę i robimy, oraz mówimy rzeczy, na które rzucimy łatwe potępienie, gdy tego zajdzie potrzeba...

W dziki wprost sposób wielbimy parafjalne wielkości i wybijamy pokłony przed uznaniami fetyszami, bez naiwnej wiary w ich wszechmoc lub cnoty, ale przez bezgraniczne lenistwo ducha, by nowych szukać bogów.

Jesteśmy sceptyczni i niechętni względem uczuć prawdziwych, drwimy z każdej wzniolejszej myśli, boimy się każdego czynu, wykraczającego poza szablon utarty, wstręt mamy do wyjścia poza zaklęty krąg spokojnego trawienia. Spojrzenie w niziny nie mamy chęci, spojrzenie w wyż nie mamy siły, rozejrzeć się dokoła nie mamy odwagi — pozycja bezwładna jest najwygodniejsza i... niech błogi sen przychodzi...

W takich oto barwach maluje swe środowisko przedstawiciel t. zw. „towarzystwa“ wileńskiego. Niechże przyjmie od nas wyrazy głębokiego społecznia...

Licz.

Tryumfator.

(Bajka).

Doświadczenia pokoleń dowiodły:

Często mocny zwycięża — tryumfuje podły.

*

Już przez konary zajrzała do kniei

Nocena błada.

A z jej kos pływych rój świetlistych fei

Spłynął i na paprocie dżdżem płomyków pada.

Stary zadrzemał bor.

Wnet z barłogów, leż, grót, nor

Wypelzły, włokąc cienie, szarpane o krzaki

Cichostępne zabijaki.

Zwierz jeden, drugi mignął, znikł.

Raptem — krzyk!

Oto Ryś, pokoju burzea,

Co każdej nocy trupy kładł na pował,

Z tokowiska porwał Głuszcza;

Wpadł z nim między drzew kolumny,

I na ustroniu mordował.

A gdy go dokonał już

I legł przy łupie, z czynu swego dumny,

Spojrzy... aż tu nowy lowca:

Mały, w pałak zgięty Tchórz

Wypadł z jałowca.

Zoczywszy Rysia, skołczał, ściał go lęku mróz.

I stał tak...

Jeno wietrzyk straszny odór niósł.

— Brr!... — Kot parsknął. — A to smród...

I jak zmyty, w las.

Wonczas Tchórz na koguta czterma stopy wlaźł

I rzekł:

— Jednakże pierwszeństwo

Ma wszędzie i zawsze męstwo.

Benedykt Hertz.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY

Helena Romer *Majaki* Powieść 8^o str. 335. Warszawa 1911.
G. Gebethn. i Wolff, Kraków G. Gebethn. i Sp.

Bywa to rzeczą dość kłopotliwą wydawanie sądu o płodach pióra początkującego i niewyrobionego. Bo miwoli pragniemy nie tyle oceniać wysiłek uczyniony, ile domyślać się przyszłości. Ze początki często bywają skromne, przewidzieć i stwierdzić łatwo; co jednak nowy talent zapowiada? I pytanie to, tak naturalnie się narzucające, zwykle musi pozostać bez odpowiedzi. Tyle zresztą horoskopów zawiodło. Co najwyżej tedy krytyka może wyrazić swe pragnienie. Otóż czy w danym wypadku znaleźć może ona jakieś podstawy do sformułowania pragnień? Sprobujmy sobie na to odpowiedzieć.

Oczywista, że nie powinniśmy się zrażać dostrzeżonemi, choćby bardzo nawet widocznemi brakami. Byłby to zaiste rzadki cud, gdyby przy pierwszych poruszeniach nie drgnęła wcale niepewna jeszcze ręka. Częstokroć nawet braki wspomniane wypłynąć muszą z takich dążeń, w których się ukrywa zapowiedź przyszłego tryumfu.

Oto przykład. Wątpliwości chyba nie ulega, że autorka świadomie czy nieświadomie wzoruje swój styl na stylu Żeromskiego. Daje się łatwo tu rozpoznać dążenie do takiego opanowania słowa, by słowo to sięgało do głębin duszy, naginało się do każdego przemijającego bodaj wrażenia, oddawało jego gorącą barwę. Styl to nadzwyczaj nerwowy, bo każda mknąca chwila kładzie na nim swe zmienne piętno. Posiadać może nieraz nadzwyczajną ekspresyjną i sugiestyjną siłę. Ale gdy czytamy takie np. wyrażenie, iż jakieś dziewczęta skończyły jakieś poważne studia i „wróciły z takim systemem organizacyjnym, że aż miło“, — wzruszamy ramię. A takich osobliwości, niestety, niestety, jest sporo. Nadają one ogólnemu tokowi znamię pretensjonalne i nieumiejętne użytej manieri. W przyszłości może to się zmienić, i to jest pierwsze nasze życzenie.

Inne braki nie wypływają zgoła z zalet, chociażby jeszcze nie urzeczywistnionych. Autorka nie ufa mowie stworzonych przez siebie obrazów, i narzuca się czytelnikowi z sądem, który musi jednak pozostać obcym i nieprzekonywającym wkrętem, gdyż obraz jest niemy. „Było w tej roz-

maitości poczucie *istotnej* oryginalnej estetyki samoistnego odrodzenia“, zapewnia autorka, malująca chaos artystycznej „młodej Polski“. Aha! Istotnej estetyki! Nie jestem jednak przekonany zwłaszcza, iż nie jestem pewny, czy maluje *istotnie* sobie znane środowisko,

I znowu. Muszę przyznać, że postacie stworzone przez autorkę, są naogół prawdziwe i żywe, ale czemu zawsze ona chce stanąć między mną a nimi? Pragnę wnioskować, oceniać, odczuwać *sam*, i tego prawa nie mogą odstąpić nawet twórcy. Oto np. centralna figura kompozycji — p. Jerzy Karliński; jest to pan arcyszlachetny, arcyobywatelski, arcysubtelny, arcyofiarny, arcywładczy, arcyarystokratyczny... Organizator stronnictwa czy stronnictw na Litwie, otoczony powszechnym uznaniem, uwielbieniem, bohater, trwający na osamotnionej placówce... Zgoła wielkolud. A przecież — nie imponuje, to najfatalniejsze. Być może, byłby nie wielkoludem wprawdzie ale bliższym, zrozumiałym, i serdeczniej przez czytelników cenionym, gdyby autorka nie dopatrywała się w nim wciąż — najczęściej bez powodu — jakiejś królewskości ducha i postawy, gdyby nie powtarzała z przejęciem, iż „j-đno jego zdanie, ton, styl zgruchotałby saskie porcelanki myśla duchowego atlety“.

Bardziej udały się autorce drugoplanowe postaci, nie zbyt może jasne przemyślane i wykończone, ale bądź co bądź, jak zaznaczyliśmy, żywe i — dodajmy—oryginalne. Autorkę pociągają charaktery wyjątkowe, pewną egzotycznością naznaczone, i organizacje psychiczne nie zwykle złożone, kalejdoskopowo nieraz zmienne. A jednocześnie pod tą warstwą mniej lub bardziej powierzchownych nastrojów umie dotrzeć do granitowych podstaw duszy. Ciekawe są postaci Rysia i jego żony Wity, ciekawa postać Zdenki, zakochanej śmiertelnie w Jerzym Karlińskim, nie mniej osobliwym jest syn Jerzego — Ninio. Brak nam tu miejsca, by to nasze *wrażenie* uzasadnić, bądź co bądź autorka umie wzbudzić zainteresowanie do swych kreacji, a rys ten uprawnia do pewnych oczekiwań w stosunku do przyszłych jej twórców.

Niedość tego. Ma ona pewien zmysł tragizmu, jakkolwiek odpowiednie sytuacje są czasem zaledwie zarysowane, niekiedy ulegając skrzywieniu (np. stosunek Rysia i żony, Zdenka i Ninio, Jerzy i syn). Jednak niektóre chwile Zdenki są prawdziwie świetne—taką jest chwila, gdy w radosnej tryumfalnej ekstazie wyrwa się na spotkanie ukochanego — aż tu nagle rzecz niespodziewana, przerażająca, w osobistym poczuciu niesprawiedliwa — strejk rolny, zawód ufności, pokładanej w *swoich* chłopach, parobkach, tyłu dobrodziejstwami obsypanych itp. I tu należy zaznaczyć szczególny, ów społeczny objektywizm, który Żeromskiemu zawdzięczamy, polegający nie na chłodnej i zrównoważonej analizie, nie na obojętności, w stosunku do przedmiotu badania, lecz na nagłym, gwałtownym i namiętnym przejęciu się nową sytuacją, nową osobą, jej bólem, pragnieniem, miłością, nienawiścią.

Strejk tedy, agitatorzy... „Porywa ją chłodna wściekłość, skoncentrowana pasja tygrysi-cy!“... Zapewne, co za niewdzięczność... Zapewne—pęknienie łańcuch maszyny gospodarskiej — tóż zachwianie egzystencji... Ale to jeszcze nie to... Spodem, jak błyskawica przebiega myśl: „Ja muszę dziś być w Warszawie, bo dziś wieczór, dziś wieczór...“ Nic tedy dziwnego, że „wysunęły się ku Zdence *mordy* tak paskudne, tak paskudne, że

oczy się jej zwięzły nagłym wstrętem“. Tak ona czuć i widzieć *musi*. Lecz przyszła inna chwila i oto: „hańba tej nędzy spadła na nią dzikiem upokorzeniem, nienawiścią do własnej piękności, do narzuconej jej losom roli.“

Po kolei wszystkie niemal błyszczące gwiazdy losu zamieniają się w „majaki“ i dlatego tyle jest tragizmu w postaciach autorki. Głęboko jest tragiczną i postać Jerzego Karlińskiego. Postać zapomnianego sztyldwacha na straconej placówce. Czy nie jest to również tragicznością samej autorki? Czy nie stąd wmawianie przez nią wielkoludztwa w swego bohatera? (Nawiasem mówiąc, chcąc go uczynić nadmiernie szlachetnym, czyni wreszcie ślamazarno-sentymentalnym). Bo ideja *dziedzicznego* przedstawicielstwa polskości i również *dziedzicznego* przodownictwa... czy to na Litwie, czy gdzieindziej — wszak to nie słońce, to majak! Nietylko błędny, ale i niepożądany.

A. Drogoszewski.

Zygmunt Kisielewski. *Węrowiec*. Warszawa 1912. G. Centnerszwer i sp.

Mieliśmy dawniej w literaturze miłość sielankowo pogodną albo smutną tragicznie. W tem uczuciu pogodnym lub smutnym była konsekwentna przyroda, logika kochania — w dzisiejszem dzieje się jakaś rewolucja miłości.

W jednej z nowel p. Kisielewskiego „*Fanna Róża*“, młode dziewczę uporczywie prześladuje swem uczuciem wcale już nie młodego lekarza. Była w tem wprawdzie wyjątkowa podniećta, bo lekarz ten swe poświęcenie społeczne odcierpiał więzieniem. Róża jedzie do Zakopanego, gdzie lekarz ów się osiedlił. Narazie przyjmuje on ją obojętnie, powodowany głównie różnicą wieku. Ale wrzuszony głęboką jej ku sobie miłością woła: „Kocham cię, ciebie jedną mam na świecie!“ I wszystko zdaje się układa jaknajlepiej.

Po paru dniach Róża poznaje młodego malarza Skałubę oryginalnego cynika. Przypadkiem idąc pod wisiorami smereków, usłyszała krakanie wrony. Krakął właściwie Skałuba. Wywiązuje się między nimi spór: „Jesteś pan bewstydnie zuchwały!“ Po kilkunastu niemal godzinach, Róża sama go poszukuje, znalazła w nim miłość ku sobie i w sobie ją ku niemu. Píše list do doktora: „Ja pana nie kocham i nie wrócę do pana“. Cała ta historyczna zdrada szalonej miłości i nagłe z tą zwrócenie się ku innemu—przeprowadzone są misternie i mimo swej nielogiczności — logicznie.

W właściwym *Wędrowcu* (tryptyk), w jego drugim rozdziale zachodzą sprawy (Swirski i rzymianka), które dzieją się zwykle przy zamkniętych drzwiach i dokładnie zakwiefionych oknach... Śród tych olimpijskich bachanalji przewijają się nawet metafizyczne ideje o „prawdzie“ i zdają się one płynąć nie z mózgu wprost, ale jakby ze szczelin tętnic, bezmiarem namiętności przepętnionych. Są to wulkaniczne sceny godne d'Annunzia, a nawet chwilami prześcigają go. Trzech rozdziałów nie łączy właściwie żadna fabuła; lecz jedynie drgania głębokich refleksji.

Zawarte w tym tomie nowele napisane są z silnym talentem, prócz jednej („W parku“), mimo zajmującej opisowości, banalnej i błażej.

D. Zgl.

PRASA POLSKA.

— W „Nowej Gazecie“ p. Ludwik Kulczycki charakteryzuje p. Romana Dmowskiego, jako „namiętnego gracza politycznego“. Żadne niepowodzenia nie są w stanie powstrzymać go od hazardu. Gdyby miał takt polityczny i posiadał poczucie przyzwoitości oraz głębszy rozum, wówczas usunąłby się we własnym interesie, na czas dłuższy od gry, którą prowadził w latach ostatnich z takim niepowodzeniem, ale były prezes Koła Polskiego woli grać dalej, urozmaicając swój hazard przez różne pseudo-nowe koncepcje polityczne.

Tracąc coraz bardziej grunt pod nogami i wznawiając program pracy organicznej, wódz endecji nie mógł nie pójść do Kanossy — do realistów, i nie cofnąć tych niesumiennych napaści, których był ongiś inicjatorem.

„P. Dmowski przyznaje się do winy, że wraz z innymi zwalczał ugodowość. Obecnie jej już nie zwalcza w stosunku do rządu, boi się tylko ugody z kadetami i socjalistami. Z właściwą sobie niesumiennością i niedokładnością wypowiada, w jednym z niedawnych artykułów, następujący pogląd:

„...W rozpowszechnionym... żargonie politycznym ustalili się wyraz „ugoda“, jako pojęcie zbrodni narodowej, przyczem używano go zawsze, gdy chodzi o jakikolwiek krok w kierunku czynników miarodajnych w państwie, mający na celu osiągnięcie jakiejś istotnej korzyści dla kraju, dla uniknięcia realnej szkody. Ciekawą jest rzeczą, że oddawanie się np. pod komendę socjalistów rosyjskich nie było nigdy piętnowane tym okropnym wyrazem, nie było nigdy „ugoda“ przymilanie się kadetom i chodzenie przed nimi na czworakach, praktykowane przez pewne kola, ale już najmniejsze porozumienie na konkretnym gruncie z jakimś państwowcem jest „ugoda“ w znaczeniu zbrodni narodowej“.

Ustęp powyższy jest typowy zarówno dla samego p. Dmowskiego, jak i dla innych graczy politycznych z jego obozu. Co zdanie, to albo niedokładność, albo nieprawda.

Przedewszystkiem nie jest bynajmniej prawdą, aby społeczeństwo nasze uważało każdą próbę uzyskania bezpośrednio od rządu jakiejś koncesji za „zradę“ narodową.

Spółeczeństwo polskie potępiało nie dążenia ugodowców do uzyskania różnych drobnych choćby i stopniowych ustępstw, lecz ich ideologję, ich teorję, że tak powiem, socjologiczno-polityczną, polegającą na negacji wszelkiej opozycji i ruchu wolnościowego, na usuwaniu wszelkich ściśle określonych dążeń politycznych, przekraczających ramy ustaw zasadniczych i na przeciwstawianiu im cierpliwości, niedrażnienia rządu oraz pracy czysto kulturalno-gospodarczej (tak było aż do 1905 roku). Polityka ugodowców (a nie praca kulturalna) nie dała nam żadnych zdobyczy praktycznych, a ideologia ich spowodowała zamieszanie pojęć i przeszkadzała wyrabianiu się politycznemu naszemu społeczeństwu. Cała ich teorja „socjologiczno-polityczna“ sprzeczna była z faktami historycznymi i życiem bieżącym.

Zresztą nikt tak demagogicznie i niezmiennie nie zwalczał ugodowców, jako ludzie, jak narodowi demokraci. P. Dmowski zresztą zupełnie niepotrzebnie ich broni, gdyż naogół dziś nawet ludzie poglądów skrajnych uważają ich za ludzi uczciwych.

Słabą stroną ugodowców było to jeszcze, że, marząc o pokojowym załagodzeniu sporów polsko-rosyjskich, nie umieli nigdy wskazać na ten grunt realny, na którym to oczekiwane porozumienie ma nastąpić. Notowali oni skwapliwie każdy przyjazny głos rosyjski o nas, ale nie uzależniali ugody od niezbędnych przekształceń w społeczeństwie i państwie, od dojścia do wpływu w Rosji żywiołów określonych, z którymi można współdziałać. Całe ich nadzieje opierały się na tem, że przecież kiedyś, bez względu na formę ustroju państwowego, znajdzie się rząd, co uwzględni nasze słuszne prawa.

Cała więc koncepcja ugodowców pozbawiona była gruntu realnego i opierała się tylko na wierze“.

Słusznie również zaznacza p. Kulczycki, że

żadna polska grupa socjalist. nie oddawała się pod komendę socjalistów rosyjskich; jeżeli bowiem szła z nimi ręką w rękę, to robiła to z powodu wspólnej doktryny, a nie z innych względów. Zresztą ci z pośród socjalistów polskich, którzy najbardziej „szli pod komendę rosyjskich“ — Socjalna Demokracja Królestwa Polskiego i Litwy — stanowili tylko jedną frakcję socjalizmu polskiego i spotykali się stale z ostrą krytyką P. P. S.

— W „Dzienniku Petersburskim“ p. J. K. zdaje krótkie sprawozdanie z ruchu ukraińskiego w państwie rosyjskiem. Na wstępie autor porównuje „nikły, ledwo widoczny strumyczek na niezmiernych stepach Ukrainy rosyjskiej“, z „wartkim, wezbranym potokiem w ciasnych granicach Rusi Halickiej“. „Tu — tylko „ruch ukraiński“, tam — pod osłoną nie idealnej wprawdzie, ale bądź co bądź konstytucji — pełnia życia narodowego.“

Bilans narodowy 27 milionów ukraińców rosyjskich, zajmujących olbrzymie obszary od Zbrucza i Bugu po stoki Kaukazu nie jest zbyt imponujący.

„Prześladowanie najniewinniejszych przejawów „ruchu ukraińskiego“, zamykanie „Proświt“, alarmy, stale podnoszone przez nacjonalistyczne organy prasy rosyjskiej z powodu niebezpieczeństwa „mazepińskiego“, uroczyste obchody 50-tej rocznicy śmierci Szewczenki, urządzone przeważnie poza granicami Ukrainy, kilka nowych wydawnictw — oto wszystko prawie, co zanotować możemy w życiu ukraińców w państwie rosyjskiem za rok ubiegły. Najważniejszym chyba wypadkiem było ukazanie się dwóch książek wysokiej wartości, przynoszącej zaszczyt młodej nauce ukraińskiej. Są to — bogato ilustrowana „Historja Ukrainy“ prof. M. Hruszewskiego (str. 556, wydana w Kijowie) i „Historja literatury ukraińskiej“ S. Jefremowa (str. 466). Na polu literatury pięknej wyróżniają się nowe utwory Winniczenki, Lesi Ukrainki, Kociuby...skiego i Olesia.

Obok tych skromnych objawów świadomego życia narodowego rok ubiegły przyniósł ukraińcom kilka drobnych faktów, świadczących, że w głębi masy ludowej, gdzie na samym dnie jej duszy zbiorowej tli jednak iskierka, która z czasem może jałym płomieniem rozgorzeć.

We wsi Manujłowce włościanie składają ostatnie grosze na budowę gmachu dla swojej „Proświty“; uczniowie seminarjum duchownego w Kamieńcu Podolskim żądają wykładów języka, historii i literatury ukraińskiej; nauczyciele ludowi również głośno oświadczają, iż nauka w szkole ludowej na Ukrainie w ojczywym języku uczniów powinna być prowadzona.

Świadomość odrębności narodowej szerzy się wśród ludu ukraińskiego. Ucząca się młodzież pracuje nad poznaniem historii i literatury własnego narodu.

Powtarza się słowem, na większej daleko przestrzeni i na większą skalę to samo, co przed laty kilkudziesięciu działo się w Galicji, kiedy wielu politykom polskim zdawało się, że „rusinów niema już wcale“. Przecież popi uniecy nawet mówili wtedy w domu po polsku.

A dziś?..

Nie ulega zatem wątpliwości, że z postępem demokracji i oświaty ocknie się do życia narodowego i Ukraina rosyjska. Czujne ucho ludzi iście-rosyjskich nasłuchuje już odgłosów zbliżającej się wiosny ukraińskiego odrodzenia narodowego. I w strwożonej wyobraźni widzą już panowie Mienszykowowie, Sawenkowie i Co, oderwaną od Rosji „samostijną Ukrainu wid Karpatiw po Kawkaz“. Wolają więc w niebogłosy po polsku i piszą donosy.

Jest to chyba najlepszym dowodem, że ruch ukraiński ma przyszłość przed sobą“.

NA WIDNOKRĘGU.

Ogólne zaciekawienie wywołuje aktualna obecna kwestja wyborów przędjum w parlamencie niemieckim.

Dzięki większości opozycyjnej na pierwszego wice-prezesa parlamentu został wybrany socjalnydemokrata Scheideman, centrowiec zaś Spahn został wybrany na prezesa tylko dzięki poparciu Koła Polskiego, które nie uważało za możliwe głosować na Bebla.

Ale Spahn zrzekł się niebawem zaszczytu zasiadania wespół z socjalistą, narodowi zaś liberałowie oświadczyli, że są przeciwnikami prezydium wyłącznie lewicowego i również nie wystawili kandydatury ze swego środowiska. Powstało więc zamieszanie, któremu kres położyła frakcja postępowców, wysuwając na prezesa kandydaturę Kämpfa, wolnomysłnego (tego samego, którego cesarz i kanclerz popierali przeciwko socjaliście w dzielnicy zamkowej Berlina). Drugim wice-prezesem został również wolnomysłny; tym sposobem utworzyło się na razie przewodnictwo postępowo-socjalistyczne. Na razie, — gdyż z mocy regulaminu parlamentu, po 4-ch tygodniach następują ponowne wybory do prezydium, a do tego czasu mogą zajść pewne zmiany w układzie stosunków i wobec wyraźnego ciężenia nacjonal-liberałów ku prawicy nie jest wykluczoną możliwością utworzenia się stałej większości reakcyjnej.

Tymczasem jednak nie przestaje budzić sensacji fakt zasiadania na krześle prezydjalnem, po raz pierwszy od istnienia parlamentu — socjalisty. O pierwszym posiedzeniu, na którym przewodniczył Scheideman (wobec rezygnacji Spahna) dzienniki niemieckie przynoszą następujące szczegóły:

Tłumy oblegały parlament i tłumy dostały się na trybuny, aby przyrzeć się osobliwemu widowisku — socjaliście, mającemu największą władzę w parlamencie, socjaliście — marszałkowi, udzielającemu urlopów konserwatywnym posłom.

Gdy o godzinie 2 $\frac{1}{4}$ Scheideman zasiadł na fotelu, wszystkie oczy zwróciły się ku niemu. Niektórzy może spodziewali się fizjonomji bardzo rozwichrzonej i zawadjackiej. Tymczasem ukazał się mężczyzna rosły, ze starannie przystrzyżoną brodą, ze spokojnym wyrazem twarzy — mężczyzna, ubrany w tużurek bez zarzutu i w czarny krawat, spadający na dobrze wykrochmalony biały gors koszuli. P. Scheideman niczem się nie różni od dotychczasowych prezesów. Przyglądając się jego gościowi i wsłuchując w głos dzwiczny i powściągliwy, niktby nie odgadł, iż zaszła jakaś zmiana w „cachet“ parlamentu...

Po prawicy Scheidemana siedział sekretarz parlamentu, również socjalista, Ryszard Fischer, po lewicy dwóch sekretarzy innych partji. Za stołem ministerjalnym zasiadli przedstawiciele 6-ciu ministerjów i komisarze. P. Delbrück złożył głęboki ukłon p. Scheidemanowi, na który ten odpowiedział również ukłonem... Słowem nic nadzwyczajnego nie zaszło. Posiedzenie miało przebieg zgoła normalny.

Cóż jednak znaczy tryumf socjalnej-demokracji w Niemczech wobec olbrzymiego przewrotu społeczno-politycznego, jaki się dokonał jednocześnie na drugim końcu starego ładu? Państwo bogdychana przestało istnieć. Zapowiadany oddawna edykt abdykacyjny dynastji mandżurskiej ukazał się wreszcie w poniedziałek. Edykt ten przełomowy dla dziejów najstarszego w historii państwa, składa się właściwie z trzech aktów prawodawczych.

Pierwszy dekret zawiera potwierdzenie warunków, ułożonych przez przedstawicieli obu stron, walczących w wojnie cywilnej, a odnoszących się

do sytuacji dynastji mandżurskiej po ostatecznej abdykacji.

Drugi dekret wzywa ludność do największego spokoju, do pogodzenia się z nową formą rządu i do niepodlegania wpływow ubocznym.

Trzeci dekret wreszcie proklamuje Rzeczpospolitą, jako następstwo ustąpienia dynastji mandżurskiej i wzywa Juanszikaję do utworzenia prowizorycznego rządu republikańskiego, działającego w porozumieniu z rządem republikańskim nankińskim. W tym celu Juanszikaję otrzymuje najdalej idące pełnomocnictwa.

W tych trzech dekretach mieści się idea olbrzymiego przełomu w dziejach Chin, przełomu wprost bezprzykładnego w dziejach świata.

Abdykacja dynastji i utworzenie Rzeczypospolitej przez rezygnujący tron, jest to wybieg dyplomatyczny rewolucjonistów, zmierzający prostą drogą do celu najważniejszego; do uznania Rzeczypospolitej Chińskiej przez rządy obce. Nota, jaką Wajwupu (ministerjum spraw zagranicznych) skieruje do mocarstw, wysłana będzie zwykłą drogą dyplomatyczną i nie będzie mogła być odrzucona, bez zachwiania zwykłej taktyki dyplomatycznej.

Pierwszy dekret aprobejuje warunki dalszego losu dynastji mandżurskiej. Opiera się on na licznych naradach, jakie odbyli rewolucjoniści z przedstawicielami tronu. Cesarz był reprezentowany na tych naradach przez dwóch opiekunów, jeden zaś opiekun był przedstawicielem książąt. Konferencja decydująca odbyła się w niedzielę. Cesarzowa-wdowa przyjęła na audjencji pierwszego ministra. Ten przedstawił cesarzowej, obdarzonej podobno finezją dyplomatyczną do pozazdroszczenia, wyniki wszystkich narad poprzednich i ich rezultat: dekrety abdykacyjne, na które już bez trudu uzyskał sankcję cesarską.

Od tej chwili cesarstwo chińskie przestało istnieć. Nie ustanie jednak walka. Nie zostały dotąd usunięte wszelkie nieporozumienia między republikanami północy i republikanami południa, między starymi republikanami z przekonania i republikanami lojalnymi z łaski monarszej. Tymczasem rewolucjoniści w Nankinie trwają dalej w swej polityce reform i nie szczędzą nawet przygotowań natury militarnej.

Zwycięstwo rewolucji w Chinach, i to rewolucji, opartej na wzorach europejskich, jest czemś tak zdumiewającym, jest wydarzeniem tak doniosłym, iż wobec niego maleją i schodzą na plan drugi wszelkie inne zagadnienia natury politycznej, a nawet tak poważna kwestja, jak tajemnicza wizyta angielskiego ministra wojny Haldane'a w Berlinie, nad rozwiązaniem której to zagadki od tygodnia suszy sobie głowę prasa europejska.

Bal polski w Petersburgu.

Dnia 26 stycznia, a więc w sześć dni po przyjęciu w pierwszym czytaniu przez Dumę Państwową projektu wyodrębnienia Chełmszczyzny, odbył się w salach klubu szlacheckiego w Petersburgu doroczny bal rzymsko-katolickiego Towarzystwa Dobroczynności, który nosi utartą nazwę „Balu polskiego“.

Opis balu owego podajemy za „Birżewymi Wiedomostiami“.

„Dnia 8 lutego w pięknej i wspaniałej sali klubu szlacheckiego odbył się jeden z lepszych publicznych wielkoświatowych balów Petersburga, — bal rzymsko-katolickiego Tow. Dobroczyńności. Zebrało się świetne towarzystwo, znajdujące się wzajemnie, co nadawało balowi specjalny odcień *intime*, odróżniający go od innych dobroczynnych balów.

Bogate stroje dam, wyszłe z rąk najlepszych „maison“ nietylko Petersburga ale i wyroczni w modach — Paryża, przyczem zauważyć można było wpływ apostoła chaosu barw *maître'a* Poiret, błyszczące mundury gwardyjskie i uczni wyższych, uprzywilejowanych zakładów naukowych i setki czarnych fraków — wszystko to zmieszało się w jeden ruchliwy kalejdoskopowo-zmieniający się obraz.

Ozdobione kwiatami kjoski oblegane są przez publiczność, witającą znajome damy — patronki.

W pięknym kjosku z kwiatami ledwie nadążają dekorować goście wspaniałymi różami, gwoździkami i konwalją panie: Chrzanowska (urodzona Kozieli-Poklewska), Olesza (ur. Żuk), Properrowa, Malińska. Szampana sprzedają panie: Kozieli-Poklewska, Kierbedziowa i Słaboszewiczowa.

Rozdawały filiżanki z herbatą panie: Missuna, Roszkowska, Sędzikowska i Kłokocka.

Naokoło kjosków i stołu z herbatą gromadzi się publiczność. Tutaj poseł austro-węgierski, hr. Turn-de-Valsassina z żoną, ambasador japoński bar. Motono, nadzwyczajny poseł szwajcarski Odje, minister dla Finlandji — sekr. stanu gien.-lejt. Langhof, wice-minister komunikacji Szczukin z córką, attaché wojskowy austriacki ks. Hohenlohe, pierwszy sekretarz z ambasady austriackiej bar. Lago, członkowie Rady państwa pp.: A. Jermołow z córką, Kozieli-Poklewska, Szebeko, hr. Potocki, adm. Birilew, W. J. Timirazjew, Chrzanowski, Skirmunt, Tagancew; członkowie Dumy państwowej: Chomiakow, Makłakow, Żukowski, Dymśza, Święcicki, Zawisza; generałowie: Pistol Kors, Nowicki, Riesenkauf, Babiński i Dobrzański. Szczodrze reprezentowany jest świat przemysłowy: państwo Szampanierowie, Rafałowicz, Nobel, baron Ginsburg i wielu innych.

Ożywiona rozmowa, nie wymuszane, z przyzwyczajenia wytworne ruchy i ta „causerie“, która od razu nadaje europejski charakter całemu balowi, przypominają wielkie wielkoświatowe rauty Wiednia i Paryża.

Ale oto dają się słyszeć dźwięki poloneza. To tylko pobudka i wkrótce rozlega się hasło zaczęcia poloneza, wydane przez wodzireja inż. Słaboszewicza. Znowu dźwięki muzyki i długi wąż tancerzy płynie po sali, to schodząc, to rozchodząc się w kapryśnych figurach tańca, pełnego dumnej siły i jakiejś ujmującej pychy.

W pierwszej parze — przewodniczący rzymsko-katolickiego Towarzystwa Dobroczyńności gien. Riesenkauf z hrabiną Potocką, za nimi — baron Motono z p. Kozieli-Poklewską, członek Rady Państwa Kozieli-Poklewska z p. Słaboszewiczową, poseł Święcicki z p. Dymśzą i długi łańcuch tańczących par. Po polonezie następuje walc, a potem dźwięki mazura rozlegają się na sali.

Odrzuć zauważyć było można, że pośród publiczności jest dużo Polaków. Takiego mazura nie widziały inne petersburskie bale. Tańczą i ubiełeni siwizną członkowie Rady Państwa i młodzi studenci. Jarzą się oczy i ręce nałogowym ruchem wyciągają się ku wąsom. I zdaje się, że

oto — oto tancerze zarzucają wyloty kontuszków na plecy i, klasnąwszy w ręce, wesołem nawoływaniem runą lawiną, przepuszczając naprzód swoją dumę — piękne panie i powabne, skromne panny.

W pierwszej parze tańczy inż. Słaboszewicz z hr. Potocką, a za nią hr. Orłow-Dawydow z p. Słaboszewiczową.

Malowniczą jest postać członka Rady Państwa Kozieli-Poklewskiego w klasycznej pozie tancerza, z podniesioną ręką i dumnym przegięciem głowy; interesujący siwy i dzielny poseł Święcicki w rączym tańcu. A oto, podniecając widzów, pędzą w rytmicznym wicherze artysta Krzesiński i najlepsi tancerze z pośród miejscowej polskiej kolonji. Długo ciągnął się mazur, kapryśny, z temperamentem, ogniem i niesłabnącą siłą.

I nikt się nie zmęczył, nikt nie chciał wyjść z tego tańczącego morza radosnych par.

Był to prawdziwy polski „biały mazur“, przedłużający się do świtu.

I zdawało się, że w chłodnym i nadętym Petersburgu zjawiał się kącik bujnej i wesołej Polski, dumnej pięknosciami swych kobiet i wdziękiem tańca narodowego.

Bez komentarzy...

Korespondencje.

Kleck.

Ciemnota ludu wiejskiego, wiara w najdziksze przesady i zabobony sprzyjają narozmaitszym machinacjom również ciemnych, lecz sprytnych oszustów. W razie choroby lud wiejski chętnie daje posłuch podszeptom bab i znachorów i zgadza się na najdziksze doświadczenia, w dodatku względnie suto opłacane.

W wiosce Babajewicze, pow. słuckiego, zachorował włościanin Piotr Małyszko, tknięty paraliżem prawej części ciała. Żona jego wraz z zięciem z poradą sąsiadów odwiozła chorego do znachora Sobolewskiego, zamieszkałego w wiosce Iwanowo. Ten ostatni przyrzekł zupełne wyzdrowienie w przeciągu 3 tygodni i przez ten czas wyludził 13 rb., nie licząc sutego poczęstunku. Gdy wreszcie stan zdrowia pozostawał bez zmiany, znachor zapowiedział zastosowanie środka „rafała“, który polega na tem, iż trzeba zabić szarą owcę, mięso jej zjeść, kości rzucić na rozstajne drogi, a krwią wysmarować chore członki. Wszystko to zostało wykonane. Rodzina chorego kupiła owcę za 4 rb. dostarczyła ją znachorowi, który owcę zarznął, mięso zjadł, wysmarował krwią ciało chorego, a kości rzucił psom. Gdy jednak i ten tak znakomity środek nie poskutkował, w odpowiedzi na wyrzekania chorego obito go i wyrzucono z chaty.

Poszkodowany Piotr Małyszko wystosował podanie do prokuratora, skarżąc się na niesumienności „doktora“, który kosztował go około 20 rb., żadnej zaś ulgi nie przyniósł. Prosi więc władze o pociągnięcie winnego do odpowiedzialności...

Tu znów wpadnie zapewne w deszczu pod rynnę, gdyż kierować jego czynnościami prawnymi będzie „advokat“ również kompetentny i sumienny jak i „doktor“. Chłop będzie słuchał opiekunów i dobrodziejów, będzie im wierzył, płacił,

zrażony niepowodzeniem pójdzie od jednego do drugiego i nie wybrnie z koła błędnego, dopóki nie przyjdzie mu z pomocą najlepszy sojusznik — oświata.

J.

KRONIKA.

= Samobójstwo starca.

Z Wadowic piszą do dzienników krakowskich: Na jednym z drzew, otaczających dwór na „Mikołaju” w Wadowicach, powiesił się w tych dniach siedemdziesięciokilkuletni woznica dworski, Błażej Wierzbicki. Powodem tragicznego zgonu starca miało być podobno wydalenie go ze służby. Staruszek, któremu trudno już znaleźć pracę, odebrał sobie życie pop oknami dworskiemi.

= Hermogenes i Heljodor.

Sprawie Hermogenesa i Heljodora poświęcone było posiedzenie ostatnie klubu działaczy społecznych w Petersburgu.

W charakterze referenta wystąpił p. A. Stołypin z „Now. Wremia”, który nikomu nie darował: zmieszał z błotem duchownych z obozu lewicowego, lecz i prawicy — w osobie o. Wostorgowa, Gajona i in. nie oszczędził zarzutów, skierowanych przeważnie w stronę najdotkliwszą — upodobania do marnych skarbów tego świata.

Hermogenes, Heljodor i inni zwolennicy zasłużyli od p. A. Stołypina na miano karjerowiczów politycznych.

Co do Rasputina, referent uważa go za osobistość podejrzaną; opowiedział o jakimś romansie z żoną pewnego dziennikarza, o haremie, stworzonym przez Rasputina w Syberji, o jego sile hipnotycznej i t. d.

Zakończenie mowy zawierało aforyzm:

„Rasputin jest epizodem. Hermogenes — to niebezpieczeństwo.

= Strejk w uniwersytecie Jagiellońskim.

W sali Kopernika odbył się wiec akademików z wydziału przyrodniczego w sprawie obsadzenia katedry botaniki i otwarcia pracowni botanicznej w uniwersytecie Jagiellońskim. Przewodniczył akad. Leśkiewicz, z ramienia senatu przybył na wiec prof. Hoyer, referat wygłosił akad. Kuźniar, który przedłożył dwie rezolucje:

„Młodzież, zebrana na wiecu akademickim w dniu 12-go b. m., postanawia: 1) zwrócić się do ministra oświaty z żądaniem jaknajszerszego pomyślnego załatwienia sprawy zamianowania prof. Raciborskiego profesorem botaniki i otwarcia nareszcie pracowni botanicznej; 2) ogłosić na dzień 13 i 14 lutego ówudniowy strejk demonstracyjny, obejmujący wykłady przyrodnicze naszego uniwersytetu“.

Nad rezolucjami wywiązała się długa dyskusja, w ciągu której padały projekty wysłania telegramów w tej sprawie do ministra dla Galicji, Długosza, do prezesa Koła Polskiego d-ra Bilińskiego, a także do posta Daszyńskiego. Osta-

tecznie uchwalono jednomyślnie obie rezolucje, proponowane przez referenta.

Przed uchwaleniem drugiej rezolucji, prof. Hoyer wiec rozwiązał.

= Tow. Macierzy Szkolnej w Gieszynie.

Przewidywany na rok 1911 niedobór w budżecie nie został w całości pokryty, pomimo, że dochód z wkładek członkowskich, darów, subwencji, loterii bibliotecznej i nalepek przyniósł o 68.713 koron więcej, niż oczekiwano. Pozostaje jeszcze do pokrycia 28,086 koron, a Towarzystwo jest już tak obciążone, że oczekiwać ratunku musi tylko od ofiarności społecznej, do której tak długo odwoływać się będzie, aż część szkół ludowych zostanie przyjęta przez kraj, a gimnazjum w Orłowej przez państwo.

= Armja w habitach.

Miesięcznik „Rodzina Seraficka” podaje następującą statystykę zakonów męskich: kanonicy laterański liczą 250 członków, barnabici — 400, karmelici — 900, norbertanie — 1,250, bracia miłosierni — 1,480, minoryci — 1,600, franciszkanie — 1,700, augustjanie — 2,342, bracia szpitalni — 3,000, dominikanie — 4,476, cystersi — 4,677, benedyktyni — 6,457, kapucyni — 10,056, jezuiti — 16,293, bracia mniejsi — 16,707. Razem 71,588 członków. Prócz tego istnieją jeszcze liczne kongregacje.

Odpowiedzi Administracji.

W-ny Zygmunt Tyski. Wysyłamy pismo regularnie.

Proszę reklamować na pocztę.

Treść numeru.

Nacjonalizm i kresy — M. Römpera.

Zawierucha cerkiewna — St. Gr.

Nasze cnoty polityczne — I. Moszczeńskiej.

Z życia litewskiego — m. r.

Gwary ludowe i prowincjonalne w powieści polskiej — Hel. Rom.

Tryumfator (Bajka) — B. Hertza.

Z mego notatnika — Licza.

Przeгляд piśmienniczy — A. Drogoszewskiego i D. Zgl.

Prasa polska. Na widnokręgu. Kronika.

Odcinek: „Zelma” — G. Daniłowskiego.

OGŁOSZENIA.

Zarząd Wileńskiego Miejskiego Towarzystwa Kredytowego

niniejszym zawiadamia, że we wszystkich kantorach i oddziałach Banku Państwa są wypłacane wylosowane listy zastawne T-wa, oraz kupony płatne od listów zastawnych T-wa.

„Dziennik Petersburski“

Organ Kolonji Polskich w Cesarstwie Rosyjskim.
Wychodzi codziennie oprócz poniedziałków.

Prenumerata rocznie 6 rb., półroc. 3, kwar. 1.50
z przesyłką 8 rb., 4 rb., 2 rb.

PETERSBURG,

Włodzimierski Prospekt № 13.

Informator Handlowy.**BIURO PRZEPISYWAŃ**
A. SkarzyńskiejWilno, Tatarska 12. Telefon 1002.
POŚPIECH I DOKŁADNOŚĆ.**KSIĘGARNIA****KULTURA** Wilno,
Dominikańska 14.
PRENUMERATA PISM.
Wszelkie nowości.**SZEW C****T. KRZYŻANOWSKI**Wilno, Bonifratska (Preobraż.) № 8.
Obuwie gotowe i na obstalunek.**Nossowicz Krawiec**ulica Wielka № 14, vis à vis Skopówki
Wybór materiałów krajowych i zagranicznych. Ceny przystępne. Wykończenie staranne.**OGŁOSZENIA**do wszystkich pism przyjmuje
i redaguje**A. Skarzyński w Wilnie**

Tatarska 12. Telefon 1002.

A. Rydlewski**ZEGARMISTRZ**Wilno,
Wileńska, róg
Gubernatorskiej.**St. Stefanowski i J. Marciniak**Pracownia kostjumów, okryć oraz futer
damskich

Wilno, ulica Wielka № 20a.

Przyjmujemy zamówienia z własnych i powierzonych materiałów. Wykonanie staranne i akuradne.

Sztrall Bolesław**CUKIERNIA**

Prospekt ś-to Jerski.

Codziennie grywa kwartet od g. 6.

Przyjmuje obstalunki na wszelkie zamówienia w zakres cukiernictwa wchodzące.

Czekolada i cukry codziennie świeże.

Ogłoszenia rocznedo **INFORMATORA HANDLOWEGO**

Administracja

„Przełądu Wileńskiego“

::: przyjmuje na dogodnych warunkach :::

Do nabycia we wszystkich księgarniach

L. KRZYWICKIEGO**W OTCHŁANI.**Rozbiór wpływów, wywieranych przez ustrój społeczny na moralność,
naukę, literaturę i sztukę.1. Nowoczesny taniec śmierci. 2. Dziennikarstwo a business.
3. Pozory wiedzy zamiast wiedzy. 4. Uczeń a nauka. 5. Nie
umiemy się bawić! 6. Zasady targowiska jako podstawa bytu
społecznego. 7. Obląkańcy Nirwany. 8. Tak mówi Zarathustra.
9. Epik industrializmu. 10. Sztuka dla sztuki. 11. Abel sztuki
i Kain chleba. 12. Niema i być nie może piękna. 13. Modernizm
jako objaw sztuki wielkowiejskiej.

Str. 292. Cena 1 rb. 60 kop.

Dla prenumeratorów „Przełądu Wileńskiego“ cena niższa
do 1 rb. (bez przesyłki).**DRUKARNIA****„ZNICZ“****A. Żukowski i W. Borkowski**

Wilno, ś-to Jańska 19.

Przyjmuje wszelkie obstalunki
w zakres drukarstwa
wchodzące.

Wykończenie wykwiłtne.

Ceny umiarkowane.

ZAKŁAD ORTOP.-GIMNASTYCZNY**WANDY FALKOWSKIEJ**pod kierownictwem D-ra Med.
T. Dembowskiego i D-r M. Fijałkowskiej
W WILNO,

Gubernatorska 1, róg Wileńskiej.

Gimnastyka dla wątłych i skrzywionych.

Po powrocie z zagranicy godz. przyjęć
12-2 po południu.**Szkoła kroju, i robót ręcznych****G. TOMKOWICZ (b. Makarowej)**

Botaniczna 5 mieszk. 11.

Przyjęcia uczeń miejscowych z całkowitem
utrzym. i przychodz.**ZAPROSZENIE ŚWIATŁO Tygodnik społeczny,
DO PRZEDPŁATY polityczny, naukowy i literacki.****WARUNKI PRENUMERATY:**

bez przesyłki i odnoszenia.

Rocznie 4 rb. — k.
Kwartalnie 1 rb. — k.
Miesięcznie 40 k.

z przesyłką poczt. lub odnosz.

Rocznie 5 rb. — k.
Kwartalnie 1 rb. 25 k.
Miesięcznie 45 k.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop. Cena pojedynczego numeru 10 kop.

Prenumerować i nabywać numery pojedyncze można we wszystkich księgarniach,
biurach dzienników i kioskach.**Cena ogłoszeń:** Cała strona 15 rb., pół strony 8 rb., ćwierć strony 5 rb.
Wiersz garmontu na całą szerokość kolumny 50 kop.**Redakcja i Administracja „Światła“:** Wilno ulica Tatarska 1 m. 6 otwara
od 10 do 1 po poł. i od 5 do 7 wieczór, oprócz niedziel i świąt.**Filja administracji w Warszawie:** Biuro dzienników W. Sawickiej Chmielna
35 m. 2 (codz. oprócz niedziel i świąt od 10 do 1 po poł. i od 6 do 8 wiecz).**Agientura w Łodzi:** Biuro dzienników „Promień“ Piotrkowska 81.